



— Nowe
Świąteczko

ZBIÓR

powiastek i wierszyków

dla małych dzieci

z 57 rycinami i 5 obrazkami kolorowymi.

LWÓW

NARŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ.



II 1.441.239



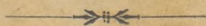
SPIS RZECZY.

WIERSZE, POWINSZOWANIA i ZAGADKI.

	str.
Przed wigilią, St. Kossowskiej	1
Rycerz, St. Kossowskiej	5
Chowanka, Jadwigi z Z. S.	8
Po śniegu, St. Kossowskiej	9
Powinszowanie, Jadwigi z Zubrzyckich S.	13
A ja sobie nic nie robię! Bolesławicza	19
Chory konik, St. Kossowskiej	24
Mój braciszek, Wł. Anczyca	28
Mały Wacławek	29
Powinszowanie	32
Dziad i Baba, J. I. Kraszewskiego	35
Kukuryku, Jadwigi Z.	38
U nas wszyscy dziś pracują! Jadwigi z Z. S.	41
Dzień dobry kiciu!	52
Powinszowanie	61
Zagadka	64
Sprzeczką, Wł. Bełzy	68
Gdybym był grzeczny, Jadwigi z Z. S.	75
Powinszowanie	77
Ptaszek w klatce, Stanisławy R.	78
Wieczorem, według J. Prusinowskiego, St. Zaleskiego	81
Jesień, M. Gawalewicz	85
Słuchaj głosu anioła, Celestyna Szczepańskiego	89
W jesieni, Jadwigi Strokowej	95
Stasia	100
Rozmowa o zimie	104
Ach, jak nie mam czasu! Jadwigi z Z. S.	108
Psotnik nielada, Jadwigi z Z. S.	109
Do świętego Mikołaja, Jadwigi z Z. S.	113
Dudek	114

BAJKI i POWIASTKI.

	str
Mała Ewcia, St. Kossowskiej	2
Dla ptaszków	6
Pracowitka i Leniuchna, St. Kossowskiej	10
Wesele lalki, A. Lewickiej	14
Morusek, St. Kossowskiej	17
Pająk, Maryi Weryho	20
Ciekawa bajeczka, Jadwigi S.	21
Bajka o szybce, L. Jahołkowskiej	25
Pięczka	30
Przyrzeczenie Janka	33
Zbudzone pszczołki	37
Łezki matuli (kazka ludowa)	40
Podarki Chochlików, (podług Braci Grimmów)	43
Podróż bańki, Wiktoryi Hozerowej	45
Trzy srebrne rybki	49
Podanie o skowronku	52
Nowy Robinson, A. R.	53
Talary, z bajek Braci Grimmów	57
Dwaj więźniowie, Cioci Hani	58
Gąski do domu, (zabawa w ogrodzie)	59
Nie słuchała mateczki, A. L.	62
Owieczki, A. L.	65
Zaraz, zaraz i natychmiast, S. I.	69
Kogucik, Wł. Bełzy	73
Kubek Matki Boskiej	77
Władek	80
Piękna Różia	82
Azor i Znajda, Jana Gołębiowskiego	84
Skąpe drzewko, R. R.	86
Misia i Isia	90
Mądra myszka, (z bajek Braci Grimmów)	92
Nowe zabaweczki, Jana Gołębiowskiego	93
Zegarek, K. I.	97
Odłot, El. Lazarusówny	101
Iskierka	103
To nie ja! — To nie ja!	106
O szczygiełku	110
Pięć palców	112
O jasnym miesięczku, co zaglądał do dzieci, A. L.	115





Przed Wigilią,

asiu, Stasiu czy Ignasiu,
O czymże tak śniesz?
Powiedzże mi małe bobo,
Czy aniołek igra z tobą
Gdy w łóżeczku śpisz?

Anioł z nieba, tam gdzie trzeba
Leci z poza chmur,
Dziś aniołek nie ma czasu,
Leci z nieba gdzieś do lasu,
Po jodełki w bór.

Leci, leci, hen — po świecie
Spieszy się co tchu:
Niesie szopkę, gwiazdkę niesie
I jodełkę wyciął w lesie
Przyjdzie także tu!



MAŁA EWGIA.



Małej Ewci przyniósł Jezusek prześlizne rzeczy na gwiazdkę! Napatrzeć i nacieszyć się nie mogła, uszczęśliwioną dziewczynka — sama nie wiedziała, gdzie pierwszej spojrzeć, co pierwszej wziąć do zabawy. Biały baranek z niebieską wstążką na szyi, wołał raz po raz: „Meee! baw się ze mną, Ewusiu!“ A chudy pajac z długim nosem uśmiechał się do niej czule, rozszerzał usta od ucha do ucha i piszczał, ile razy tylko ścisnęła go za serduszko: „Rzuć Ewciu baranka, niech sobie idzie do bydełka, baw się lepiej ze mną, zawsze to wypada, żeby równy z równym przystawał.

Bardziej jednak od pajaca i od baranka nęciło Ewcię isniące, strojne drzewko, co setnemi oczkami mrugało na dziewczynkę.

„Jam piękne“, uśmiechało się złote bawidełko. „Jam słodkie!“ kusiło serduszko czekoladowe. „Jam smaczne!“ wołało tak głośno rumiane jabłuszko, że Ewcia oczu od niego oderwać już nie mogła. Ale bo co też to było za jabłuszko! Niktby nie uwierzył, jakie ono było ładne. Całe żółciutkie, jak roztopione złoto, rumieniło się z jednej strony, jak uradowana twarzyczka Marysi Figulanki, gdy ją przyprowadzono do Ewci i bawić się z nią pozwolono. Nie, takiego jabłuszka na świecie jeszcze nie było.

— Mateczko, ja zerwę je sobie! — prosiła Ewcia, podbiegając do mamy i pokazując na nie paluszkiem.

— Chcesz zerwać to jabłuszko? Ej, nie, dziecino, szkodaby go było.

— Szkoda? Jabłuszka szkoda? Mateczko, to pewnie bar-

dzo smaczne jabłuszko, a przecież Bozia stworzył na to owoce, żeby dzieci jadły.

— Mateczka nie broni ci jeść owoców — uśmiechnęła się mama, całując kochaną Ewunię — ale to jabłuszko nie jest do jedzenia.

— Jakto, nie do jedzenia? A do czegożby było? — myślała Ewcia, gdy mama wyszła z pokoju. — Aha, pewnie mama chce kompot z niego zrobić, a Ewcia bardzo kompot lubi. Ale dziś wolałaby surowe, takie śliczne, takie smaczne, surowe jabłuszko. Ee, nie będzie się gniewać mateczka, Ewcia grzecznie przeprosi, pocałuje i połowę dla mateczki zostawi. Niech wie, że mamina córeczka zawsze o niej pamięta.

Wspięła się więc Ewcia na paluszki, wyciągnęła rączkę, ale jabłuszka uchwycić nie mogła, za wysoko wisiąło. Przyniosła



więc sobie krzeselko, przysunęła bliżutko i wyskoczyła na nie. Doskonale, wygodniutko zerwać je mogła. Ach, jakież ono było śliczne z blizka, jeszcze ładniejsze niż z daleka; takie jakieś gładziuchne, błyszczące — aż ślinka z buzi płynie. Chrup! zanurzyła Ewcia ostre, białe ząbki w jabłuszko, ale w tej samej chwili, bęc! rzuciła niem o ziemię, skrzywiła się okropnie i zaczęła pluć i pluć. Cóż to się stało? Ewcia zaczęła wycierać rączką buzię, a tu z pocierania robi się coraz większa piana żółta, zielona i czerwona. Ewcia trąc ciągle buzię, wybiegła do mamy do drugiego pokoju, z płaczem wołając:

— Jabłuszko, niedobre jabłuszko, takie ładne, a takie niedobre jabłuszko!

— Ewcia mydło zjadła! — zawołała, śmiejąc się mama, gdy spojrzała na buzię swej córeczki, pomalowaną w różne kolory. — A widzisz, mówiłam ci, że to nie do jedzenia jabłuszko, ale chciałaś koniecznie skosztować, jak mydło smakuje, no cóż, dobre?

Ewcia nic nie odpowiedziała, dała sobie bardzo grzecznie umyć buzię, pocałowała mateczkę w rękę i siadła ze swoim pajacem cichutko w kącie.

— Pomyśl tylko — szeptała, patrząc mu smutnie w oczy — że też takie śliczne jabłuszko mogło być z mydła, a nie z jabłka!

St Kossowska.





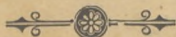
Rycerz.

Jestem sobie rycerz wielki
Od chorągwi, od szabelki,
Chociaż twierdzi siostra Genia,
Żem rycerzem od jedzenia.

Właśnie wracam z wielkiej wojny,
Wszak widzicie, jakem zbrojny,
Moc pobiłem już żołnierzy,
Nikt mi nawet nie uwierzy!

Teraz się posilić trzeba,
Dała siostra kromkę chleba
I zdaleka na mnie mruga:
„Tam, rycerzu, leży druga“.

Ej, niech tylko podjem sobie
Z całym wojskiem wnet ład zrobię,
Przekona się siostra Genia,
Czym rycerzem od jedzenia!



DLA PTASZKÓW.

Na drzewie siedziała rodzina szpaczków. Śnieg pruszył gęstymi płatkami, mroźny wiatr dał w suche gałązki drzew, a biedne ptaszęta siedziały skulone z nastrzępionymi piórkami. W pobliżu tego drzewa stał mały domek, okienka wychodziły na ogród. Szpaczki patrzyły na lśniące szyby, ustrojone w kwiatki i listki z mrozu i myślały sobie: „Za temi okienkami cieplej zapewne, jak tu na dworze, nie czuć śniegu, nie czuć wiatru, o jakże dobrze ludziom na świecie!

A w izdebce, przy okienku, stała mała dziewczynka i chuchała w zamarzną szybę. Chciała koniecznie wyrzeć na drogę, bo czekała na tatusia, który pojechał po braciszka do miasta.

— Jaki tam wiatr, mateczko! — zawołała Jadwisia — dmie śniegiem, aż strach! Tatuś i Janek pewnie bardzo przemarzną w drodze.

— Szczęście, że nie daleko z miasta do nas — odrzekła mateczka. — Ale pomyśl tylko dziecino, że są ludzie, którzy w taki czas przez dzień cały zmuszeni są pracować na dworze! Jak im tam ciężko dziś być musi.

Jadwisia posmutniała i zadumane oczka zwróciła znowu przez wychuchany otwór w zamarznętej szybie na drogę.

Śnieżyca ustawała, wyjaśniało się powoli i można było teraz wszystko rozróżnić na dworze. Wśród puchu śniegu białego czerniły się nagie drzewa, a na oprószonych gałązkach widać było siedzącą, skuloną rodzinę szpaczków.

— Patrz, patrz, mateczko, tam ptaszki siedzą na drzewie! Mój Boże, przecież one nigdzie domków nie mają, ogrzać się nie mogą, jeszcze zamarzną biedaki na tym mrozie.



Właśnie chciała mateczka coś odpowiedzieć, ale w tej chwili dzwoneczki zadźwięczały przed domem, zajęchały sanki, a Jadwisia z mamą wybiegły, ażeby przywitać ojca i Janka.

Wielka radość zapanowała w domku rodziców Jadwisi i Janka. Dzieci dostały na gwiazdkę mnóstwo podarunków, wszyscy weselili się przy opłatku i kolędowali przy drzewku.

— Tatusiu, a cóż to za niespodzianka w tym dużym papierze? — pytała Jadwisia, pokazując paluszkami na rzeczywiście duży pakunek, owinięty papierem.

— To niespodzianka dla ptaszków naszych — zawołał Janek — a proszę zobaczyć, sam ją sporządziłem.

Rozwinął szybko papier i pokazał zdumionej Jadwisi jakiś rodzaj domku, zbity z deszczułek.

Jadwisia aż w rączki klasnęła z podziwu.

— Domek dla szpaczków! — zawołała. — Ach, jak to dobrze, przynajmniej skryć się będą mogły przed wiatrem i mrozem.

Uszczęśliwiona dziewczynka rzuciła się braciszкови na szyję i chciała natychmiast umieścić domek na drzewie.

— Dziś trochę zapóźno, ciemno na dworze, a szpaczki już śpią — mówił ojciec z uśmiechem — zrobimy to jutro.

Nazajutrz powiesił Janek domek ptasi na drzewie, między gałązkami, w miejscu zacisznym. Jadwisia chuchała znowu w szyby i patrzyła na ptaszki, bo ciekawa była, czy ucieszą się domkiem.

A szpaczki patrzyły zrazu z niedowierzaniem na obcy im

przedmiot, skakały z gałązki na gałązkę i coś świergotały między sobą. Nareszcie skoczył najodważniejszy na deszczułkę przed domkiem, a za nim odważyły się i inne.

— Mamy domek! — wołały teraz radośnie, bo przekonały się, że niebezpieczeństwa nie było żadnego. A poczciwe oczęta Jadwisi śmiały się szczęśliwie, patrząc na ptaszęta, które już ludziom nie zazdrościły schronienia poza okienkami, ustrojonemi w zamarznięte kwiaty i liście.



Chowanek.

Schowała się panienczka
Teraz ją szukajcie,
Wszystkie kąty i kąciki
Dobrze przeglądajcie.

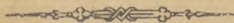
Tu jej nie ma — tam jej nie ma,
Gdzież się ona skryła,
A figlarka, toż nie mało
Nam trudu sprawiła.

Nie za szafą — nie za sofą,
Ani pod stolikiem,
Może tutaj za firanką,
Lub za fotelikiem.

Szukają jej... oj, szukają...
Z dobre pół godziny
I nie mogą znaleźć jednej
Figlarnej dziewczyny.

Ona skryta, aż się dusi
Z śmiechu serdecznego,
Że braciszkom swym sprawiła
Figla wybornego.

Jadwiga z Z. S.



Po śniegu.



Świeci śnieżek biały,

Iskierkami świeci,

A Stach na saneczkach

Niby ptaszek leci.

Leci, śmiało leci,

Zaraz poznać zucha,

Choć mroźny wiaterek

Prosto w nosek dmucha.



Pracowitka i Leniuchna.

Daleko, daleko, za siedmioma górami, za dziewięcioma morzami, mieszkały dwie królowny. Każda z nich panowała nad swoim krajem, ale każda panowała inaczej. Pracowitka chodziła cały dzień boży po swoim królestwie, zaglądała do wszystkich domów i pilnowała porządku. A gdzie tylko przeszła, zostawiała radość i zadowolenie, ludzie śpiewali wesoło przy pracy, nikt nie znał smutku, ani zmartwienia, a każdy kochał królowną Pracowitkę, z serca całego.

W drugim kraju, tuż obok królestwa Pracowitki, inaczej panowała królowna Leniuchna. Przez dzień cały leżała na miękkim kobiercu, drzemiąc albo ziewając — a w całym państwie brali wszyscy przykład z królowny. Każdy spał, gdzie i jak mógł, nikt nie robił, nawet drzewa i zwierzęta rosły i poruszały się leniwie, jakby przez sen.

Pewnego razu, kiedy królowna Pracowitka chodziła znowu po kraju swoim, zaszła aż do granicy, przy której rozpoczynało się panowanie Leniuchny.

— Oj — pomyślała, patrząc na zielskiem i chwastem porośnię drożyny—cóż to za nieład, a jak tu smutno i cicho! Ani piosenka nie dźwięczy wśród gaju, ani tam kosa nie brzęknie na polu — brzydko, oj brzydko w kraju królowny Leniuchny.

A myśląc tak, przeszła granicę i zaszła do gęstego boru, w którym ciemno było i strasznie i dziko. Zrazu bała się trochę Pracowitka, ale potem pomyślała, że wartoby nauczyć królowną Leniuchnę, jak zaprowadzić w kraju radość, jasność i zadowolenie — i postanowiła odwiedzić ją w królewskim pałacu. Szła więc naprzód przez ciemne lasy, przez łąki bagniste pełne ropuch i wę-

zów, wdzierając się na wzgórze kamieniste, że aż białe stopy krwią zachodziły, aż wreszcie po długiej, męczącej podróży, stanęła przed ogromnym, wysokim budynkiem. Zmęczona, z sił prawie upadająca, zapukała do drzwi wchodowych. Otwarły się, a Pracowitka weszła do wspaniałej komnaty, zasłanej dookoła makatami i kościami. Jakaś woń odurzająca objęła królową, zmysły macię się poczęły, oczy się skleiły i zasnęła śliczna Pracowitka ciężkim snem obok królowy Leniuchny.

Co się tymczasem w opuszczonym działo kraju — aż strach powiedzieć! Ludzie opuścili ręce, smutek zagościł we wszystkich sercach, a do roboty zabrać się nikt nie mógł. Każdy tęsknił za królową, bo bez niej ani śmiech, ani piosenka nie brzmiała na polu, dzień stawał się długim i nudnym, wszystkim się zdawało, że słońce świeci mniej jasno, że nawet drzewka i łąki nie tak są zielone i świeże, jak dawniej.

— Musimy odszukać królową kochaną — rzekli wreszcie poddani Pracowitki i udali się w drogę.

Gdy doszli do kraju królowy Leniuchny, patrzą, a tu drożyny zarosłe chwastem i zielskiem, że przebić się trudno. Zaczęli więc czyścić drogi, skopywać i ubijać, pracują, aż im pot leje się z czoła. Tak doszli do boru. Patrzą, a tam ciemno aż strach. Drzewa rosną tak gęsto, że jedno drugie prawie wypycha. Zaczęli więc wyrębywać co najstarsze dęby i buki, młodsze stanęły pięknie w szeregu i aż odetchnęły, bo zrobiło im się przestronno i jasno. Wyszli na łąki bagniste, nogi grzęzną w moczarach, więc ludziska nie wiele myśląc, zaczęli kopać rowy, suszyć łąki i tak pracując, szli dalej, a dalej.

W królestwie Leniuchny dziwią się tej drużynie, co pracą toruje sobie drogę przez kraj niegościnnie. Wyszli mieszkańcy, sen z oczu spędzają i pytają przybyszów, czego chcą i gdzie idą?

— Szukamy królowy naszej, Pracowitki kochanej, bo źle nam bez niej i smutno.

— O, Pracowitka usnęła w pałacu Leniuchny i nie wróci już do was, bo kto raz zakosztował snu lenistwa, ten nie tak łatwo wraca do kraju pracy — mówili mieszkańcy. Ale ludek Pracowitki nie słuchał tych słów, tylko pracując szedł dalej a dalej, póki nie dotarł do królewskiego pałacu.

— Zbudźmy ją! — wołali i zastukali mocno do królewskich podwoi.

— A kto tam? — zaszcebiotała Pracowitka, budząc się ze snu ciężkiego.

— To my, twój ludek, otwórz nam, królowo nasza i wracaj z nami do stęsknionego kraju.

Pracowitka otrząsnęła się z resztek snu, jakieś nowe życie wstrząsnęło nią całą i w jednej chwili zeskoczyła z miękkiego kobierca.

— Idę już, idę! — wołała uradowana.

A królowna Leniuchna wyciągała się i ziewając mówiła:

— Ot, czy nie lepiej leżeć tu wygodnie, aniżeli przebijać się na świecie przez gęste bory, niż ranić nogi na kamieniach i schylać barki pod wielkimi ciężarami? Co mi to za przyjemność, co mi to za przyjemność?

Ale Pracowitka nie słuchała Leniuchny. Wypadła z pałacu do stęsknionych poddanych, by wrócić z nimi do kraju pracy. A po drodze uczyła pszczółki lepić plastry na miodek, pomagała mrówkom budować kopce i wtórowała ptaszkom i ludziom w piosenkach przy pracy.


Odtąd nie wybiera się już Pracowitka do kraju Leniuchny, tylko chodzi od świtu do zmroku po własnem królestwie, zagląda do chat i domów, a gdzie przejdzie, tam świta radość i wesołe brzmiały piosenki.





POWINSZOWANIE

.....



Wstałam rano, myślę sobie...
 Jakby powinszować,
Gdy nie umiem czytać, pisać,
 Lecz tylko figłować.
Nie nauczył mię nikt w domu
 Wierszyka żadnego,
Z czemże przyjdę dziś w to święto
 Do tatka mojego?
Myślę, myślę... co powiedzić
 I co podarować...
Aż serduszko szepce z cicha:
 Idźże pocałować
Tatusiowi rączki obie...
 Więc ja je całuję
I tatusia kochać zawsze
 Szczerze obiecuję...

Jadwiga z Zubrzyckich S.





WESELE LALKI.

Toż to się dopiero zabawimy! Patrzcie, patrzcie! co dostałam od mamy! Sami sobie przyrządzimy podwieczorek — wołała Zosia wesoło, wbiegając do dziecinnego pokoju i zaczęła wydobywać z fartuszka rozmaite łakocie. Były tam kawałki czekolady, cukru, rodzenki, migdały, ciasteczka, jabłuszka, a nawet malutki słoiczek konfiturek malinowych.

— Bal! bal! wielki bal! — zawołały uradowane dzieci, zobaczywszy przysmaki, które Zosia ustawiała na stole.

A było dzieci pięcioro: Józio, braciszek Zosi, mała Mania jej siostrzyczka i troje dzieci cici Karolci: Antoś, Jurek i Stefcia.

— Możebyśmy naprzód pokosztowały wszystkiego, czy dobre — rzekła mała Mania — a potem zrobimy bal — i porwała jeden rodzenek.

— Nie rób tego Maniu! — szepnęła Zosia — to brzydko łasować.

— A nas zaprosicie na ten bal? — zapytał Antoś, który właśnie naprawiał biczyk.

— A jakże, a jakże, zapraszamy, przecież bal nie może być bez kawalerów.

— Wiecie co! — zawołała Stefcia — zrobimy wesele Zosinej lalce; ma białą sukienkę, upniemy jej na głowie welonik mojej mamy, a panem młodym będzie pajac Mani.

— Ten szkaradny pajac, z takim dużym nosem i wykrzywioną gębą, ma być mężem mojej ślicznej Luli — rzekła, krzywiąc się Zosia.

— Cóż robić, jak nie ma innego — odpowiedziała Mania — inaczej nie byłoby wesela.

Zosia już się nie sprzeciwiała, a Stefcia wołała:

— Gdy byłam na weselu mojej cioci, to grała muzyka.

— O! o to nie trudno — odparł Józio — jest bęben i trąbka, Antoś i Jurek będą grali, a ja będę dawał ślub.

— Będę bębnił z całej siły — zawołał rozpromieniony Antoś.

— A ja jeszcze głośniej będę trąbił.

— A ja — rzekła Mania — będę przebierała rodzenki i krajała czekoladę.

— I wszystkiego pokosztujesz trochę — wtrącił Jurek.

Mania zarumieniła się, bo Jurek odgadł dlaczego wybrała sobie to zajęcie.

— Nie dokuczajcie sobie. Mania jest jeszcze malutka — rzekła ośmioletnia Zosia — a wiadomo, że dzieci lubią łakocie.

— Dalej do roboty — zawołał Józio — panie niech ubiorą pannę młodą i przygotują ucztę weselną, my zaś zrobimy przygotowanie do ślubu i przyprowadzimy muzykę. — To rzekłszy wyszedł z chłopcami.

Dziewczynki zabrały się do roboty. Stefcia przyniosła z przedpokoju nowy, śliczny welonik swojej mamy. Mania upięta go na głowie lalki, przyczem zmięta go zupełnie, a wpinając szpilki, przedziurawiła w kilku miejscach. Potem posadziły piękną lalkę, obok śmiejącego się złośliwie arlekina, a same zabrały się do roboty. Stefcia biła pianę z soku malinowego i białek wyproszonych u kucharki, a że ubijała ją z wielkim zapamię, więc nie jedna kropla upadła na świeżo uprasowaną sukienkę, pozostawiając po sobie jasno-czerwone plamy. Mania mieszała czekoladę z mlekiem, a że często kosztowała, czy to będzie dobre, więc osmarowała sobie ciemne ramki dokoła ust. Ale wszystkie tak były zajęte, że nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Wtem z ogromnym hałasem, wjechał do pokoju wspaniały ekwipaż, był to niski stoliczek Mani, przewrócony do góry nogami, a w nim siedział Józio w jakimś czarnym szlafroku, w okula-



rach na nosie, a ciągnął go koziołek — obok powozu szli z powagą dwaj muzykańci Antoś i Jurek, jeden bębnił z całych sił, a drugi dał w trąbę aż poczerwieniał. Za nimi biegł duży pies Azor, a że widocznie i on chciał wziąć udział w zabawie, więc szczekał i wył głośno, wtorując naszym muzykantom. Dziewczyнки stanęły jak wryte, same nie wiedziały czy zachwycać się tą muzyką, czy zatykać sobie uszka. Muzykańci zaś zatrzymali się rozpromienieni przed damami, a Azor skacząc około nich, zamachnął tak silnie ogonem, że ściągnął serwetę ze stołu. Przerażona Mania pochwyciła spadającą czekoladę, która oblała białą sukienkę.

Na ten hałas wbiegły do pokoju obie mamy. Zobaczywszy co się dzieje, stanęły w progu, a oczom ich przedstawił się taki widok: Mania z osmarowaną buzią i oblaną czekoladą sukienką, Stefcia obryzgana cała malinowym sokiem, Antoś bijący na gwałt w bęben, Jurek dmący w trąbę, Azor szczekający głośno i wymachujący ogonem, a wśród tego potłuczone na ziemi naczynie i zmieszane przysmaki, które tratował koziołek.

Jedna tylko Lula siedziała spokojnie na kanapie, obok śmiejącego się, jak zawsze pajaca.

Jak się skończyła ta zabawa? — Nie wiem. Ale wy się pewno domyślicie.



121

Morusek.

Mały Karolek narobił okropnego hałasu.

— Bobak! bobak! Lolek się boi!

— A czegoż ty się boisz, Karolku? — pyta mama.

— Tam bobak! W kuchni bobak! — krzyczy z płaczem Karolek, tuląc się do mamy.

— Chodź ze mną, przekonamy się, co to za bobak! — powiedziała mamusia, wzięła chłopczyka za rękę i poprowadziła go do kuchni. A tam właśnie czarny kominiarczyk wymiatał kominy.

— To nie żaden bobak, tylko taki chłopczyk, jak ty, Karolku — mówiła mamusia.

— A dlaczego taki czarny?

— Bo czyści kominy, ażeby sadzy w nich nie było. Jak jest dużo sadzy, to może się zapalić, a z tego mogłoby powstać wielkie nieszczęście. Pamiętaj Karolku, że kominiarczyk, choć czarny, jest dobrym chłopczykiem i bać go się nie należy. Podajże mu teraz rączkę i powiedz mu, że się go już nie boisz.

Karolek wyciągnął powoli rączkę, a drugą trzymał się mocno sukni maminej.

— Kominiarczyku, już się ciebie nie boję — powiedział.

A kominiarczyk uśmiechnął się serdecznie do chłopczyka, kiwnął głową, zabrał sznury i drabinę i wyszedł.

— Oj, żebym to ja miał sznury i drabinę, tobym także czyścił kominy! — zawołał Karolek.

— Czekaaj, czekaaj, aż trochę podrośniesz! — odrzekła, śmiejąc się mama, podniosła chłopczyka, pocałowała go w rumianą buzię i zabrała się dalej do swojej roboty. Ale Karolek ciągle teraz myślał, jakby to i on mógł wymieść sadzę z komina. Nawet w nocy, kiedy spał w łóżeczku, śniło mu się, że już wyrósł, że dźwigał miotły i drabiny i że się przeciska przez ciasny otwór komina.

Jednego razu obudził się raniutko — nikogo nie było w pokoju. Wygramolił się z łóżeczka i zaczął gospodarować po swojemu. Pościagał różne rzeczy, powysuwał szuflady, wreszcie stanął koło pieca.

— Aha, teraz będę się bawił w kominiarza! — pomyślał.

Z wielkim trudem otworzył drzwiczki i choć nie miał miotły, zaczął rączkami grzebać i wyrzucać popiół, że aż ciemno zrobiło się dokoła niego.

— Muszę dobrze wyczyścić, jak prawdziwy kominiarz — powtarzał ciągle, grzebiąc się w popiele.

Czyścił więc i wymiatał, sięgając rączkami coraz głębiej.

— A no, czy tam dużo jeszcze tego popiołu?

Wsadził główkę do pieca, ale nic nie widział, bo w piecu było ciemno. Wsunął się dalej, wlaźł prawie cały i rączkami namacał miękki popiół.

— Zaraz resztę wyczyszczę! — zawołał i zaczął rączkami grzebać się na nowo. Ale nagle krzyknął przeraźliwie, bo zasypał sobie popiołem twarz i oczy, które zaczęły go piec okropnie. Czempředzej wygramolił się z pieca, stanął na środku pokoju i na całe gardło krzyczał:

— Ojoj! Mamo! mam!

— A cóżes ty zrobił najlepszego! — zawołała mama na widok zamorusanego synka.

— Lolek był kominiarczykiem, ale zasypał sobie oczy! — mówił, płacząc Karolek.

— Nie, mój maleńki, nie byłeś kominiarczykiem, tylko niegrzecznym morusem — powiedziała mama. — Kominiarczyk



naprawdę pracuje, dlatego go wszyscy szanują, choć czarny jest i brzydki, ale kto jak ty, zamorusa się niepotrzebnie, ten jest niegrzecznym chłopczykiem i zasługuje na karę. A teraz chodź, mamusia pokaże cię wszystkim, niech widzą, jak wygląda Karolek morusek.



A JA SOBIE NIC NIE ROBIĘ!

W domu wszyscy się krzątają,
Wszyscy dużo pracy mają,
Bracia piszą, lub czytają,
Siostry szyją, albo grają,
A ja sobie
Nic nie robię!

Brat próżniakiem mnie nazywa,
Ciocia grozi — palcem kiwa,
Siostra do nauki wzywa,
A czasem się niby gniewa,
A ja sobie
Nic nie robię.

W poduszkę mnie zawijają
I kołyszą i śpiewają,
Kiedym głodna, jeść mi dają,
I rodzice mnie nie łają,
Że ja sobie
Nic nie robię!

Jestem duża. Mam mniej więcej
Już około sześć miesięcy!
Więc was proszę moi mili,
Byście się tem nie gorszyli...
Że ja sobie
Nic nie robię!

Bolesławicz.

P A J A K.

Kazio był synem biednej praczki.

Od dwu tygodni już chłopczyk leżał chory i tak osłabł że nie mógł się podnieść z łóżka.

Leżał biedak samotnie, bo matka wychodziła na robotę co rana, a wracała dopiero późno wieczorem.

Raz, w jasny dzionek, Kazio spostrzegł pod gzemsem pajęczka, który był bardzo zajęty snuciem pajęczyny.

Kiedy robotę skończył, wtedy z zadowoleniem usiadł w środku sieci. Po niejakim czasie wiatr zaczął ruszać pajęczyną tak, że zdawało się, że ją zaraz oberwie i poniesie.

— Jak też sobie poradzi przyjaciel — myślał Kazio.

Wiatr był mocny, ale pajak nie głupi.

Spuścił się na ziemię, wyszukał dwa suche listki, osnuł je pajęczyną i wciągnął do sieci.

Trudno mu to przyszło, bo listki kilka razy obrywały się. Wreszcie dopiął swego. Wciągnięte listki przyczepił do siatki. Siatka od listków ocieżyła i bujała już bezpiecznie na wszystkie strony.

Wtedy pajak usiadł w kącie sieci tak, że go trudno było dojrzeć. Skoro tylko jaka muszka lub inny mały owadek wpadły do sieci, natychmiast rzucał się na nie i pożerał. Ale inaczej było z większymi owadami.

Jednego razu przypadkiem osa zaplątała się do pajęczyny. Pajak z początku jakby trochę się nastraszył, a następnie zaczął sam pomagać owadowi wypływać się z sieci. Te różne przygody pajęczka tak bawiły chłopczyka, że i dzień zdawał mu się krótszym i nie było mu tak markotno jak zwykle, kiedy sam zostawał.

Po powrocie matki, opowiedział jej, iż mu tak dobrze dzień dzisiejszy zeszedł, że czuje się być silniejszym.

— Radam bardzo, żeś sobie znalazł jakąś rozrywkę — mówiła matka, całując Kazia w główkę — bo ja ci nie mam za co kupić zabawek.

Marya Weryho.



Ciekawa bajeczka.

Bawił się Luduś, bawił, aż zmęczony usiadł na fotelu i patrzy na swe zabawki rozrzucone na posadzce. Jest ich dużo: żołnierze, trąbka, pajace, pistolet wyborny i cegielki drewniane, na których są ponaklejane duże litery alfabetu.

Wtem zabawki Ludzia poczynają się ruszać i prowadzić z sobą rozmowę. Najpierw podskoczyła parę razy cegielka, na której było naklejone duże, czerwone **O**, a śmiejąc się, powiada:

— Nieprawdaż, że jestem literką najpiękniejszą w świecie? Popatrzcie tylko, co za śliczny mój kształt, okrągła jak oczko, jak pierścionek, jak obręcz, którym dzieci toczą po plantach... nie ma literki zgrabniejszej odemnie.

Wszystkie literki i zabawki Ludzia patrzyły na **O** z uwagą i przysłuchiwały się ciekawie jego mowie.

— Wicie co? — powiada dalej **O** z zarozumiałością — wszystkie dzieci mnie najlepiej lubią, bo się najłatwiej uczą mnie i czytać i pisać. Spytajcie Ludzia, on powie, czy nie tak.

Ale Ludzio nie nie odpowiedział, siedział cichutko, a **O** wzięwszy się pod boczki, przechadzało się z pychą pomiędzy zabawkami i mrucało:

— O! o! ja jestem dla dzieci najmilszą literką.

— E, dość tego chwalenia się — zawołało wesole, czupurne **i** z kropeczką, jak kapelusikiem nad głową. — Alboż to ja nieładne i nie łatwe dla dzieci do nauczenia się? Niby igła z nawleczoną nitką, niby biczyk wyborny do popędzania konika — niby laseczka z galką złocistą... **O** jest brzydkie, pękate...

— Cicho dzieciaku! — ozwał się głos jakiś — z pewnością, że ta litera jest najładniejsza, którą ludzie postawili na pierwszym miejscu w alfabecie, która jest początkiem nauki, bez niej nie ma abecadła, książki. Tą literą jestem ja — dodaje duże **A** — pa-

trzecie... czyż trudno dziecku zapamiętać? Niby daszek na stodole, dwie kreseczki ukośne, a w środku jeden szczebelek, jak w drabinie.

— Be-be-be — zapiszczała inna cegiełka, wyskakując na bębnek i zadzierając główkę do góry — **A**, jest początkiem abecadła i bez niego nie ma nauki, a czyż **B** nie jest potrzebne? A mnie to dziecko nie zapamięta łatwo? nie nauczy się rysować? Przecież rzecz bardzo łatwa, jedna duża kreska, a obok niej dwie kragłe, przytulone do siebie. **B** przypominam precliczek i jestem, jak stara babunia poważna, a tłusciutka... gdyby mnie nie było, jakżeby można mówić babunia?

Ledwie **B** zeskoczyło z bębna, aż tu inne literki na kostkach ponaklejane, poczęły się wdrapywać, cisnąć, trącać i chwalić, każda siebie wyżej wynosząc, każda głośniej krzyząc.

— Cicho! Cicho! — krzyczało duże **C** — cóż znowu? Nie ładnie tak sprzeczać się, oto ja wam dam radę... Stańcie wszystkie literki w szeregu spokojnie, jeden z żołnierzy zasiędzie na bębnie, jak na tronie i pocznie sądzić o każdej literze, jaka jest.

— Nie! nie! — zawrzeszczały literki niegrzeczne — nie żołnierz, ale Ludzio będzie o nas mówić, która ładna, która brzydka i do czego podobna.

— Dobrze! Panie Ludziu! — kłaniając się, mówi **i** — przypatrz się nam i powiedz do czego każda z nas podobna.

Ludzio się zaśmiał, pomyślał chwilkę, a potem powiada ze smutkiem:

— Kiedy, kiedy, ja nie wiem...

— Co? nie wiesz, która literka do czego podobna?

— Ja nie wiem jeszcze, jak wy się nazywacie — szepnęła chłopczyzna.

Ale na to rzekło tłuste **B**:

— Przecież ty jeszcze maleńki, dopiero zacząłeś się uczyć, to nie znasz naszych imion, lecz my ci zawsze będziemy mówili, jak się nazywamy, ty zaś mów, które z nas ładniejsze, które brzydsze.

I stanęły litery rzędem, jak wojsko w szeregu, a najpierw **A** pogwizdujące sobie wesoło. Ludzio przypatrywał się i tak począł mówić:

— Ty literko podobna do mego łuku, co strzelam nim, ot tak ani ładna, ani brzydka, jak się nazywasz?

— Jestem **D** — przedstawia się literka.

— Ta litera wygląda, jak połamane grabki bez rączki.

— Jestem **E**.

— Ta podobna do kosy, którą u babuni koszą koniczynę. Podoba mi się.

— Jestem **F**.

— To oczywisty rogalek — czy smaczny? z makiem?

— To ja, **G** — powiada literka i aż wywróciła koziółka z radości, że Ludzio do smacznego rogalka ją porównał.

— To, jak dwaj braciszkwowie, gdy idą do szkoły i trzymają się za rączkę.

— Nazywam się **H**.

— **I** już wiem, do czego podobne, a ta obok, to ładna litera niby koszyczek ładnie spleciony.

— Toż nazywam się **K**.

— Wy obie do siebie podobne, tylko jedna ma pasik w środku, podobneście do klęczących laleczek.

— **L** i **Ł**.

— Tu, jakby dwa skrzydełka razem związane.

— **M** się nazywam — powiada literka — a to moja siostrzyczka **N**.

— Ciebie już znam, ty **O** grubasie, a to oczywista szabelka.

— Jestem **P**, paniczku miły.

— Ta litera maszeruje jedną nogą naprzód, jak tłusty pan na spacer.

— **R** nazywam się.

— To, jak wąż na obrazku, już wiem, to **S**.

— To jak parasol otwarty, ha, ha! śmieszny...

— Jestem **T**.

— A ty panie bracie co nadstawiasz uszy do góry, jak się nazywasz?

— **U** — zahuczała litera.

— To widły, prawda?

— **Y** moje imię.

— A ty, ostatnia, jak się nazywasz?

— **Z**.

— Wiecie, która najładniejsza? — zawołał Ludzio wesoło. **M**, bo od niej zaczyna się słowo mamusia... a teraz idźcie do pudełka, ja zaś posprzątam zabawki, bo czas do nauki. — I chciał iść prędko — wtem zsunął się z fotelu. On zdrzemał się i wszystko to mu się przysniło — ale przytem dowiedział się, jak się literki nazywają.

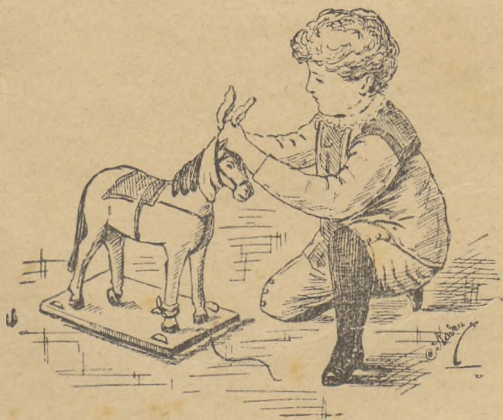
CHORY KONIK.

Chciał pojechać Zdziś do lasu,
Konik — ani rusz!
Zdziś popędza, nawołuje,
Cóż z nim robić — cóż?

Zdziś go czule opatruje:
„Boli może ząb?
Możesz nóżkę skrócić sobie?
Próbujże — no, stąp!“

Stoi, stoi, jak przykuty,
Ni biega, ni rży:
„Pewnieś chory, mój koniku,
Biednyś, biednyś ty“.

Opatruje, podwiązuje:
„Będziesz siwku zdrów;
Gdy się zgoi ząb i nóżka
Pojedziemy znów“.



Bajka o szybce.



W oknie była sobie szybka taka czysta i taka przeźroczą, jak w waszym pokoju.

Był wieczór, na dworze ściemniało się coraz bardziej. W pokoju przy stole siedziało kilkoro dzieci, a na ulicy pluskał deszczyk, taki drobny, je-sienny deszczyk, Padał on na dachy, na ziemię, uderzał kropelkami o szybkę i tak szemrał do niej:

— Na dworze ciemno i brzydko, u was w pokoju tak ci-cho, tak przyjemnie, wpuść mnie szybko, na chwilę do pokoju.

— E, nie — odpowiedziała szybka — nie wpuszczę ciebie, zmoczysz w pokoju podłogi i ściany.

Poszemrał deszczyk, poszemrał, aż wreszcie poszedł sobie dalej.

Na dworze ściemniło się jeszcze bardziej, a na polach zahuczał wicher. Huczał, jęczał, stękał i leciał coraz dalej. Zbliżył się wreszcie do domu: zastękał w kominie, zaszumiał wśród drzew, zapukał do okna.

— Och, biedny ja, biedny, nie mam ja nigdzie ni chaty, ni domu, włóczę się po świecie bez końca. Wpuść mnie szybko, do pokoju! Odpocznę sobie trochę i pójdę dalej.

— Nie -- odpowiedziała szybka — nie mogę wpuścić ciebie, zdmuchnąłbyś lampę, przewracałbyś meble, a co byś zimna przyniósł!

Zahuczał, zaszumiał, zajęczał wiatr, lecz cóż robić z upartą szybką?

Stuknął w nią raz i drugi i poszedł sobie w świat.

Na dworze robiło się coraz zimniej. Jasne, drobniutkie kropelki deszczu zamieniły się od zimna w śnieg. Z początku płynęły one jako siwe chmurki na niebie, później zaczęły padać na ziemię jako białe, leciuchne gwiazdeczki. Padały wolniutko, coraz niżej i niżej; kładły się na gałęziach drzew, na dachach, spadały na okna, muskając delikatnie szkło szybki.

— Szybko moja — szeptał łagodnie biały, mięciuchny śnieżek — u was w pokoju tak ładnie, tak ciepło, lampa świeci żółtawem oczkiem, dzieci śpią słodko w białych łóżeczkach; wpuść mnie, kochana, do was na chwilkę! Żle mi tu na dworze, wiatr pędzi to w tę, to w drugą stronę... Sprzykrzyło mi się ciągle fruwanie, wpuść mnie na chwilę, kochanko.

— Cóż znowu — odpowiada szybka — sam nie wiesz, czego chcesz, gdybym cię wpuściła do mieszkania, stopniałbyś odrazu, a w pokoju zostałyby strugi brudnawej wody. Idź lepiej w świat, fruwać, jak ptaszek w powietrzu, a gdy się zmęczysz, uczep się drzew, lub połóż na ziemi.

Zaszleścił biały śnieg, zatrzepotał w powietrzu i porwany przez wicher, poleciał daleko.

O samej północy ucichł deszcz, śnieg i wiatr. Niebo wypogodziło się, a z poza chmur ukazały się drobne, srebrne gwiazdeczki. Świeciły one jasno, mrugając ciągle oczyma, jak małe figlarne dzieci.

Na ziemi ucichło wszystko, a po świetle zaczął się skradać srebrzysto biały mróz. Zatrzeszczał w gałęziach drzew, ściał lodem rzeki, rozwiesił białe sople u dachu i zajrzał przez szyby do domu.

— Szybko, przezroczyście szkielek moje, usuń się trochę z drogi, bo chcę wejść do pokoju, żeby porozwieszać u sufitu igły z lodu, pomalować ściany w białe kwiaty, przypruszyć szronem włosy śpiącej dziatwy.

— Ach, ty okrutniku — odrzekła szybka — miałbyś serce męczyć tak biedne maleństwa? Nie wpuszczę ciebie! Od twego oddechu zmarzłyby drobne, słabe ciała... Idź, gdzie chcesz, nie wpuszczę cię, bo wprowadziłbyś śmierć lub chorobę do tego domu.

Rozgniewał się srebrzysto-biały mróz, roziskrzył z gniewu i pomalował czyste szkło szybki w białe kłosa i kwiatki.

— Nie chcesz — mrucał złośliwie — to rozsiądę się na szkle twojem i będę siedział aż do białego rana.

Patrzy szybka, a tu na gładkiem szkle wyrastają co chwila kwiaty, kłosa i liście.

Na niebie błysnął księżyc, błysnął i spojrzął na szybkę.

Lodowe kwiatki zaiskrzyły się, jak drobne brylanciki na szybce. Zajrzał księżyc do pokoju i oświecił twarzyczki śpiącej dziatwy.

— Mój księżycu, mój srebrny miesiączku — prosiła szybka — spędź ze mnie lodowe kwiatki mrozu.

Ale księżyc nic nie odpowiedział szybce, tylko zaczął zwolna iść po niebie.

Szedł tak długo, długo, aż póki nie zaświtał biały ranek.

Dzieci obudziły się wcześniej i zaraz pobiegły do okna. Chciały wyrzeć na świat, lecz nic nie było widać prócz lodowych kwiatków i liści.

— Jakież to śliczne kwiatki, któż to je wymalował? — pytały dzieci.

— To ja, to ja — syczał mróz, ale tak cicho, że go nikt nie słyszał.

Na niebie błysnęło słońce. Wstało ono dziś późno i jak ospałe dziecko mrużyło duże, złociste oko. Podnosiło się zwolna na niebie, spoglądając z poza jasnych chmur na lasy, na góry, na domy, na drzewa na ludzi i na okna.

— Słoneczko, moje oczko złociste — przemówiła szybka — spójrz na mnie, zobacz jaką krzywdę zrobił mi mróz.

Złote promyki upadły na szybkę, głaszcząc ją i mówiąc:

— Biedactwo, biedactwo, poczekajno chwileczkę, zaraz spędzimy mróz.

Głaskały, pieściły, całowały, ogrzewały szkiełko, aż wreszcie stopiły kłosa, kwiaty i liście.

Mróz odszedł, lecz ze złości rozplynał się we łzach, które dużemi kroplami toczyły się po szybce. Płynęły, płynęły łzy grymasnego złośnika, a szybka znów zajaśniała szkłem gładkiem i czystym.

— Czy wpuścisz mię do pokoju? — pytało ją złociste słonko.

— Wpuszczę, bo ty przynosisz ludziom światło i zdrowie, wpuszczę cię, moje kochane, złociste oczko — mówiła radośnie.

Słonko zajrzało przez nią do domu, a w całym mieszkaniu zrobiło się jasno, ciepło i wesoło.

Ludwika Jaholłkowska.



Mój braciszek.

Wiersz Wł. Anczyca.

Mój mały braciszek, pocziwa to duszka,
Ma buzię tak miłą, przyjemną,
I kocha mnie przytem z całego serduszka,
I wszystkim podzieli się ze mną.

Roskoszny, wesoły, wciąż biega i skacze,
Choć czasem mi lalkę w kąt ciśnie,
Zepsuje zabawkę, a ja się rozplącę,
To zawsze przeprosi, uściśnie.

Mówiłam mu nieraz: „nie dam ci zabawek,
Wyłamiesz lalczce mej nogę“,
Lecz minkę zmartwioną gdy robi Wacławek,
To słowa dotrzymać nie mogę.

Czy może rozgniewać pieszczotka ta miła?
Cóż winien, że żywy jak myszka?
Wybaczyć mu trzeba, bo cóżbym zrobiła,
Gdybym nie miała braciszka?





Mały Wacławek.

Nasz mały Wacławek
I figlarz i śmiałek,
Choć często koziołki
Wywija przez stołki,
To niechby mu mucha
Usiadła na nosku,
Od ucha do ucha
Drze usta po troszku,

I krzyczy i wrzeszczy,
Że aż w uszach trzeszczy,
Nózkami, rączkami
Bije jak cepami.
A jak się wykrzywia,
Jak minki wydziwia,
Gdy mama czasami
Skarci go słowami!

PIŁECZKA.

Ignas dostał od babci na imieniny śliczną, dużą piłkę malowaną w czerwone, niebieskie i żółte trójkąty, poprzedzielane żółtymi pasami. Cieszył się nią i nie mógł się jej napatrzeć.

Po obiedzie przyszedł do niego Staś. Ignas pokazał mu piłkę i zapytał: — Prawda, że ładna?

— Prawda, prawda — odparł Staś — pójdźmy na podwórze, to się nią pobawimy. Jest tam Wladek i Boles.

— Ani myślę — przerwał Ignas — szkoda jej, boby się powalała. Schowam ją i tylko czasem pokażę drugim.

— Przecież ci ją babcia dała do zabawy — rzekł Staś.

— To też ja się bardzo bawię oglądając ją — odrzekł Ignas i schował piłkę do pudełka i postawił na szafie.

Stasiowi przykro się zrobiło, ale nic na to nie powiedział. Na drugi dzień Ignas znowu zajrzał do piłki, to samo w dni następne, czasami pokazał ją któremu chłopczykowi, ale bawić się nią nie chciał nigdy, choć go o to bardzo prosili. Wreszcie po kilku tygodniach, jak się dość napatrzył i wszystkim znajomym chłopcykom pokazał, zapomniał zupełnie o piłce. I tak zeszło całe lato, aż dnia jednego przyszło do niego kilku chłopczków i kiedy w najlepsze bawią się z sobą w różne gry, Staś rzekł:

— Ach, gdyby była piłka, tobyśmy dopiero się zabawili!

— Ja mam piłkę — zawołał Ignas, przypominając sobie podarunek babci — zaraz ją wam pokażę. A jaka śliczna, jak się dobrze odbija!

— Ach, to wybornie — krzyknęli chłopcyki i zaklaskali z radością w ręce.

Ignas wyskoczył na krzeselko, wysunął z szafy pudełko, które widać, że dawno nie było ruszane, bo kurz tak się z niego posypał, że wszystkim zaprószył oczy.

— Oto piłka! -- zawołał Ignas, wydobywając ją ze schowania. Zaraz wam pokażę, jak skacze wysoko.

I rzekłszy to, uderzył nią silnie o podłogę, ale piłka została w miejscu i rozsypała się jak próchno, w drobniutkie kawałki. Chłopczyki oniemieli, a Ignas aż zbladł.

— A to co się zrobiło? — zapytał — widać, że mi ją ktoś przez złość pokrajał.

— Tak, tym ktosiem to były mole — odezwała się mama, która weszła do pokoju i widziała, co się z piłką stało. — Gdybyś się nią był bawił — mówiła dalej — to mole byłyby się do niej nie dostały. Szanować wszystko trzeba i starać się każdą rzecz utrzymywać w całości, ale i użytkować z niej należy stosownie do tego, do czego przeznaczona.

Ignas zawstydział się i poznał teraz dopiero, że źle zrobił. Piłką wprawdzie lubił się bawić, ale nie swoją, tylko cudzą, a to nie dobrze.



Powinszowanie.



Tyś mnie mamó nauczyła,
Abym codzien się modliła,
A Bóg szczęście da;
Że zaś szczęście dobrych dzieatek
Połączone z losem matek
Tylko razem trwa.
Więc też codzien, mamó z rana
Ja przed Bogiem gnę kolana,
Za pomyślność błagam twą;
Dziś, w twójego dzień imienia,
Podwoiłam me westchnienia,
By cię okrył łaską swą!
A Bóg próby przyjmie pewnie,
Gdy Go dziecie błaga rzewnie
O rodziców swoich los,
Błogosławieństw Swych użyczy,
Nie poskapi ci słodczy,
Spełni próby głos!





Niosę kwiateczki

Dla mojej mateczki.

BIBLIOTEKA
BN
M. RODOW



PRYZRZECZENIE JANKA.



ak straszliwie hałasujesz Janku — mówiła mama, zatykając uszy — że ogłuchnę.

— Już nie będę mameczko — odrzekł Janek — przyrzekam to, jak mamę kocham.

Uspokoiwszy się, wziął piłkę i począł nią wybijać.

— Janku — odezwała się mama — piłka nie w pokoju do zabawy, bo możesz nią potłuc figurki na półeczce, albo wybić szybę w oknie. Jeżeli mnie Janek zaraz nie posłucha, to go nie będę kochać.

— O, mameczko — zawołał Janek — wolę nigdy nie bawić się piłką, jak żeby mnie mama miała nie kochać. Już jak mamę kocham, w pokoju piłką nie dam nawet jednego koziołka.

Potem wesoło śpiewając, pobiegł Janek do drugiego pokoju tupiąc nogami i powrócił tupiąc jeszcze mocniej.

— Janku, nie bij tak nogami — mówiła mama — bo mi głowa ledwo nie pęknie z tego straszego hałasu.

— Już nie będę tupał, jak mamę kocham — zawołał Janek i usiadł w oknie, patrząc co się dzieje na dworze.

Niedługo jednak sprawiał się tak cicho. Prędko sprzykrzyło mu się patrzenie i w kwadrans potem na nowo zaczął hałasować, tupać jak konik nogami i wybijać piłką koziołki.

— Widać, że Janek mamy nie kocha — odezwała się na to mama — skoro tak prędko zapomniał, co przyrzekł.

— O, kocham mameczkę — zawołał Janek z rozżaleniem, — niech mameczka tak źle o mnie nie myśli.

— A dlaczegoż tupiesz i hałasujesz, choć powiedziałeś, że jak mamę kochasz, nie będziesz tego więcej robił?

— Tak, to prawda, ale kiedy tego, co przyrzekłem, nie mogę dotrzymać. To tak same nogi tupią i hałasowanie samo się robi.

— A to co innego — odrzekła mama — to już nie ty jesteś winien, tylko nogi, że tupią, a buzia, że krzyczy.

— A tak — potwierdził Janek — to nie ja, tylko nogi i buzia.

Przed wieczorem Janek przypomniał mamie, że mu przyrzekła dać jabłko na podwieczorek.

— Prawda, że przyrzekłam — odrzekła mama — ale przyrzeczenia nie mogę dotrzymać i jabłko nie dostaniesz.

— A to dlaczego! Gdyby mama tylko chciała...

— Ja chcę mój Janku, ot widzisz, że sięgam do kieszeni po kluczyki od jabłek, a ręka sama spada i nie chce wziąć kluczyków.

— Czy to być może?

— A dlaczegoż nie? Przecież choć nie chcesz, nogi twoje tupią, a buzia sama hałasuje, więc i moja ręka tak się uparła, że ja chcę dać ci jabłko, a ona nie chce wziąć kluczyków i otworzyć szafki.

Janek zawstydził się, bo przekonał się, że z przyrzeczeniem nie można żartować, tembardziej, gdy się powie, „jak mamę kocham“. Od tego też czasu nie hałasował, ani tupał nogami, bo wiedział, że one to muszą robić, co im każe. Mama też teraz otworzyła szafkę i dając jabłuszko, dołożyła bardzo smaczne ciasteczko, które Janek schrupał z wielką przyjemnością.



DZIAD I BABA.

Bajka J. I. Kraszewskiego.

Był sobie dziad i baba,
Bardzo starzy oboje,
Ona kaszląca, słaba,
On skurczony we dwoje.

Mieli chatkę maleńką,
Taką starą jak oni,
Jedno miała okienko
I jeden był wchód do niej.

Żyli bardzo szczęśliwie,
I spokojnie jak w niebie,
Czemu ja się nie dziwię,
Bo przywykli do siebie.

Tylko smutno im było,
Że umierać musieli,
Że się kiedyś mogiła,
Długie życie rozdzieli.

I modlili się szczerze,
Aby Bożym rozkazem,
Kiedy śmierć ich zabierze,
Zabrała dwoje razem.

Razem? to być nie może,
Ktoś choć chwilą wprzód skona.
— Byle nie ty nieboże!
— Byle tylko nie ona!

— Wprzód umrę — woła baba —
Jestem starsza od ciebie,
Co chwila bardziej słaba,
Zapłaczesz na pogrzebie.

— Ja wprzódy, moja miła ;
Ja kaszlę bez ustanku
I zimna mnie mogiła
Przykryje lada ranku.

— Mnie wprzódy! — Mnie kochanie!
— Mnie, mówię! Dość że tego,
Dla ciebie płacz zostanie!
— A tobież nie, dlaczego?

I tak dalej i dalej,
Jak zaczęli się kłócić,
Tak się z miejsca porwali,
Chatkę chcieli porzucić.

Aż do drzwi, puk, powoli ;
— Kto tam? — Otwórzcie proszę,
Posłuszna waszej woli
Śmierć jestem, skon przynoszę!

— Idź babo drzwi otworzyć!
— Ot to, idź sam! jam słaba,
Ja się pójdę położyć...
Odpowiedziała baba.

— Fi! śmierć na słocie stoi
I czeka tam nieboga!
Idź, otwórz z łaski swojej!
— Ty otwórz, moja droga.

Baba za piecem z cicha,
Kryjówki sobie szuka,
Dziad pod ławę się wpycha...
A śmierć stoi i puka.

I byłyby lat dwieście,
Pode drzwiami tam stała,
Lecz znudzona, nareszcie,
Kominem wleść musiała.





ZBUDZONE PSZCZÓŁKI.

Zbudziła się pszczołka z długiego snu zimowego, przetarła długiem snem sklezione oczki i głośnem brzęczeniem zbudziła drzemiące jeszcze swe towarzyszki. Otworzyły zamkniętą na zimę bramę ula, a otworem tym wpadły do ciemnego wnętrza jasne i ciemne promienie słońca!

— Wiosenka! wiosenka! — zawołały uradowane pszczołki, wysunęły się ze swego domku, a przyjrząwszy się sobie nawzajem, ujrzały, że ich sukienki były bardzo zmięte i nie dziw, spały w nich całą zimę. Więc jako porządne istotki oczyściły przedewszystkiem swe sukienki, rozwinęły skrzydełka i pofrunęły w świat.

Przyleciały do jabłoni i zabręczały: »Pożyw nas jabłonko, biedne, głodne pszczołki, nie jadłyśmy nic całą zimę, głodne jesteśmy, bardzo głodne«. — Ale jabłonka odpowiedziała: »Za wczesnie przyszłyście do mnie, kwiatki moje jeszcze się nie zbudziły, lećcie do czereszni«.

Poleciały pszczołki do czereszni i zabręczały: »Pożyw nas biedne, głodne pszczołki, czereszeńko kochana, głodne jesteśmy, głodne bardzo!«

»Dziś nie mam nic — odparło drzewko — przyjdźcie jutro, promienie słońca błyszczą tak jasno, deszczyk spadnie tej nocy, mówiły mi o tem jaskółki, co dziś nadleciały, czuję, że jutro rozwiną się już moje kwiatki, a wtedy uraczę was słodkim sokiem i miłą wonią«.

»Jutro, jutro, a my dziś głodne bardzo« — brzęczały pszczołki i poleciały dalej. — Leca, leca, aż ujrzały rozkwitły, wspaniały, barwny kwiat tulipanu, który tylko co rozwinął swój wielki kielich. Uradowane pszczołki obsiadły go, zanużyły weń ssawki, ale nie znalazłszy w nim ani woni, ani miodu, odleciały szybko, brzęcząc: »Taki piękny kwiat, a taki pusty, zum, zum, zum, taki piękny, a taki pusty!«

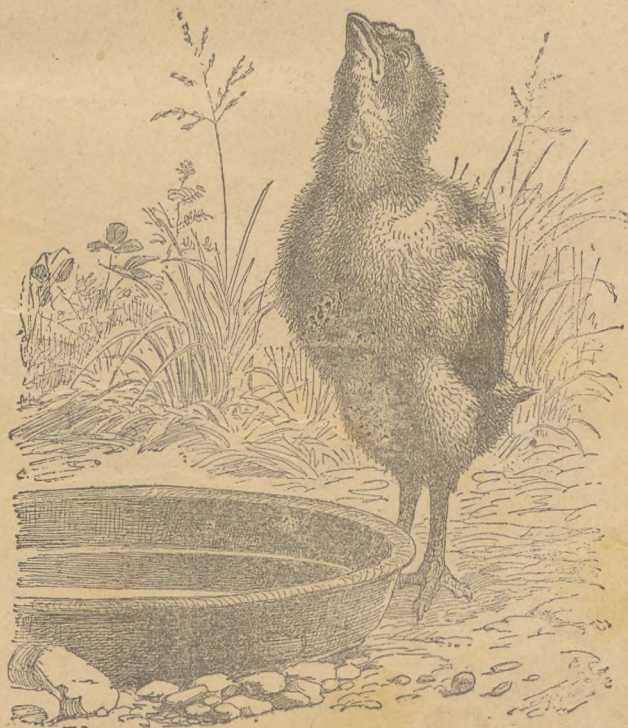


KUKURYKU.

Piję wodę, piję...
Po smacznem śniadaniu,
Które zjadłem dzisiaj
Rano — na świtaniu.
Wszystkie dzieci — spiochy
Smacznie sobie spały,
Kiedy my — kurczątko
Rano powstawały.
Bo mama nas budzi
Rano wczas, ze słońkiem
I tatuś — kogucik
Swym głosem, jak dzwonkiem
Budzi do wstawania
Pieje — „kukuryku“.
A spiochu — do pracy
Jest robót bez liku...
W ogródku robaczków
Nie mało znajdziecie,
Z nich śniadanie dobre
Pewno mieć będziecie.

Więc my rano wstały,
Robaczki zbierały...
A potem ziarneczek
Garść sporą dostały.
Teraz wodę piję,
Bom dosyć zmęczone
I nóżki me małe
Srodze utrudzone.
Więc pod skrzydła mamy
Schowam się na chwilę
I przespię troszeczkę
Spokojnie i mile...
Tatusź znów na płocie
„Kukuryku“ śpiewa —
Bo że śpią leniuszki
Jeszcze się spodziewa,
Więc budzi i woła:
Dziewczynko — chłopczyku...
Wstawaj równo z słońcem
Tak, tak — kukuryku!

Jadwiga Z.



ŁEZKI MATULI.

KAZKA LUDOWA.

Miała matka chłopczyka siedmioletniego. Był tak ładny i miły, że kto na niego spojrział, musiał go pokochać. Matka umiłowała go nad wszystko w świecie. Razu jednego chłopczyk zachorował nagle i Bóg wziął go do siebie. Matka była niepokieszona. Płakała ciągle, w dzień i w nocy. Wkrótce po pogrzebie dziecię zaczęło się ukazywać w nocy w miejscach, gdzie siadało i bawiło się za życia. Jeżeli matka płakała, to i ono płakało, a nad ranem znikało. Matka nie przestawała zalewać się łzami; aż jednej nocy dziecię przyszło w tej samej koszulce, w której zostało złożone do trumienki, z wianuszkiem na głowie; usiadło na łóżku u nóg matki i przemówiło:

— Matko moja, przestańcie płakać, bo nie usnę w trumience. Koszulka moja wciąż mokra, wszystkie łzy wasze wciąż na nią padają.

Matka przełękała się bardzo, słysząc te słowa i przestała płakać. Następnej nocy dziecko ukazało się znowu. Miało świecę w ręczce i powiedziało:

— Widzicie, koszulka już prawie sucha, będę miał spokój w trumience.

Matka ofiarowała swój żal i smutek Panu Bogu i zносиła sieroctwo swoje cicho i cierpliwie. Dziecię nie przyszło już nigdy. Spoczywało spokojnie w podziemnym łóżeczku.



U NAS WSZYSCY DZIŚ PRACUJĄ!



nas wszyscy dziś pracują,
Pieką, smarzą i gotują...
To migdały obierają,
To znów jaja ubijają,
Tutaj babki wyrobione
Rosną w górę, napuszone —



A tu placek z rodzynkami,
A tam torcik znów z jabłkami...
Pomarańcze i cykaty
I cudowne z cukru kwiaty.

Więc się wszyscy uwijają,
Mamie w kuchni pomagają,
Tłuką, krają,
Trą, siekają;
O nas całkiem zapomnieli,
Do pomocy nas nie wzięli
Więc my sobie w pokoiku,
Tu, osobno, na stoliku
Usmarzymy torcik mały,
Słodki, smaczny, doskonały,
Widzisz Jasiu? daktelowy
Będzie zaraz już gotowy.

Mówię tobie — znakomity,
Cukier z jajem już ubity,
Ty migdały prędzej siekaj,
Nie patrz na mnie i nie czekaj...
Bo roboty jeszcze huk...
Prędzej Jasiu! stuk, stuk, stuk!

Jaś małeńki tłucze, sieka
I roboty swej nie zwleka,
A tu Wandzia wciąż kosztuje,
Mięsza, cukru dosypuje
I powiada: smaczniejszego
Nic nie będzie i lepszego!
— Dajże Wańdziu mi skosztować —
Jaś małeńki siostrę prosi,
A za Jasiem kotek bury
Także łapki swe podnosi...
— Miau! miau! panienczka,
Niech też spojrzy na koteczka...
Ale Wandzia ani słuca,
Wciąż kosztuje i wciąż dmucha
I wciąż woła: Na migdały
Będę czekać już dzień cały,
Siekaj Jasiu... stuk, stuk, stuk!
Bo roboty jeszcze huk!...

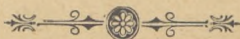
Usiekane już migdały,
Wyrobiony torcik mały,
Już do pieca Wandzia daje,
Jaś i kotek przy niej staje —
Ślinka płynie do ust sama,
W tem nadchodzi na to mama.
— Ach, dla Boga! coś zrobiła,
Ześ w piec torcik położyła,
Piec za mocno napalony,
Tort na węgiel już spalony.

Płacze Wandzia i Jaś płacze
I kot bury już nie skacze,
Smutne minki — szkoda ślinki,
Zamiast tortu — węgiel czarny,
Miast migdałków — jest proch marny.

Wtedy mamą im powiada:
Trzeba służyć, trudna rada,
Ciasta, torty, gdy zrobione,
Aby były upieczone,
Trzeba komuś dać starszemu,
A nie sadzać w piec samemu...

Jasio mówi: żal mi, żal...
Tort się spalił — przepadł bal...
Wandzia mówi: tak, tak, tak...
Szkoda, bo miał pyszny smak,
A kot mówi: źle, źle, źle,
Nie skosztuję teraz, nie...

Jadwiga z Zubrzyckich S.



Podarki chochlików

bajka

BRACI GRIMMÓW.

Dwaj ludzie, wędrowali razem po świecie, jeden był krawcem, drugi złotnikiem. Pewnego wieczora, gdy słońce spuszczało się za góry, usłyszeli dźwięk muzyki, zrazu bardzo oddalonej, potem coraz wyraźniejszej. Brzmiała niezwykle, ale tak mile, że nie bacząc na zmęczenie, poczęli iść ku niej. Księżyc wypłynął na niebo i przy świetle jego ujrzeli pagórek, na którym tańcowało mnóstwo maleńkich człowieczków i niewiast. Trzymali się za ręce, skacząc i płasząc wesoło; śpiewali przytem prześlicznie i to właśnie była owa muzyka, która doleciała uszu wędrowców. Po środku siedział staruszek. Był wyższy od tańczących, miał ubranie pstrokate, a długa, siwa broda spływała mu na piersi. Wędrowcy zatrzymali się zdziwieni, patrząc na płasę. Staruszek dał im znak, aby się zbliżyli, a tańczący otworzyli im swoje koło. Złotnik wszedł zaraz do koła, ale krawiec był bojaźliwszy. Stał przez chwilę na boku, potem nabrał odwagi i wszedł do koła, które się w tej chwili zamknęło, a mali ludzie poczęli znowu tańczyć i śpiewać. Staruszek wziął szeroki nóż, który miał u pasa i zaczął go ostrzyć, a potem obejrzał się na wędrowców. Ciarki ich przechodziły, ale nie mieli czasu zastanawiać się nad tem, bo

staruszek już pochwycił złotnika i ogolił mu włosy i brodę z niesłychaną szybkością. To samo spotkało krawca. Uspokoił się jednak wkrótce, bo staruszek poklepał ich po ramieniu, jak gdyby chciał pochwalić ich uległość i spokój. Pokazał im palcem kupę węgla i dał na migi do poznania, aby napełnili niemi kieszenie. Usłuchali, chociaż nie rozumieli co to ma znaczyć; potem ruszyli szukać noclegu. Gdy zeszli w dolinę, zegar w pobliskim klasztorze wybił północ. W tej chwili śpiew umilkł, wszystko znikło, a księżyc oświecał pusty i samotny pagórek.

Wędrowcy przybyli do gospody, położyli się na słomie, przykryli sukmanami i usnęli. Zapomnieli na śmierć o węglach i nie wysypali ich z kieszeni. Obudzili się wcześniej niż zwykle, czując ciężar jakiś, przygniatający im członki. Patrzą, a tu zamiast węgla, mają szczerę złoto w kieszeniach. Włosy i broda odrosły im przez noc. Z biednych ludzi, stali się naraz bogaczami. Złotnik, chciwiec z natury, nabrał był więcej węgla od krawca, miał zatem więcej złota. Pomimo to chciwość jego nie była zaspokojona. Począł namawiać krawca, aby następnej nocy pójść znowu na pagórek i wziąć jeszcze więcej skarbów od staruszka. Krawiec nie dał się namówić: — „Mam dosyć. Zostanę majstrem, ożenię się i będę szczęśliwym człowiekiem.“ Został w gospodzie i czekał na złotnika, który, gdy wieczór zapadł, przewiesił sobie kilka worków przez plecy i ruszył ku pagórkowi. Mały ludek tańczył i śpiewał, jak poprzedniej nocy; staruszek ogolił mu głowę i brodę i wskazał kupę węgla. Złotnik napełnił kieszenie i worki po brzegi i wrócił do gospody uszczęśliwiony. Przykrył się sukmaną, myśląc: — „Zniosę ciężar tego złota“ i usnął w przekonaniu, że obudzi się bogaczem. Nazajutrz zerwał się szybko i dalejże wypróżniać kieszenie. Ale niestety! dobywał tylko węgle i węgle, — „Cóż robić — pomyślał — mam przecież jeszcze złoto, które wczoraj przyniosłem“. Lecz i to złoto obróciło się w węgle. Przerażony uderzył się zasmoloną ręką po głowie i poczuł, że włosy ma ogolone. Brody też nie było. Poznał, że to kara za chciwość i zapłakał głośno. Poczciwy krawiec obudził się wtedy i począł go pocieszać, jak mógł najlepiej, mówiąc: „Byłeś towarzyszem moim w wędrowce, zostaniesz ze mną i nadal. Będziemy używać wspólnie skarbów moich.“ I dotrzymał słowa; ale złotnik nieborak został na zawsze łysy i musiał okrywać czapką swoją łysą głowę.





Podróż bańki.



W bielonym domku, z ogródkiem kwiatowym przed oknami, mieszkała jedna bardzo dobra mateczka z trojgiem dzieci. W śliczny dzień wiosenny cała gromadka skacząc i klaskając, świergotała wesoło, bo oto ze słomki, którą najstarsza Helunia trzymała w buzi, tak cudne wybiegały bańki, że dzieci nie widziały nigdy nic równie pięknego. Odbijało się w tych bańkach słoneczko złociste, kwiatki z doniczek zaglądały do nich ciekawie, a wszystko wydawało się w nich takie malutkie, że schowałyby się w drobnych rączkach dzieci.

W chwili najweselszej zabawy, gdy dzieci zapatrzyły się w cudną bańkę, stanęła pod ogródkiem biedna Kasia. Czarne, zwykle smutne oczy biednej dziewczynki, zaiskrzyły się na widok barwnej, rosnącej w oczach kuli. Helunia zobaczyła w tej chwili sierotkę i nie odrywając ust od słomki, aby nie psuć ogólnego zachwyty, patrzyła na jej bladą, przeźroczystą, a przytem anielsko dobrą twarzyczkę.

Kasia nie знаła zabaw dzieciennych, ani pieszczot matki, która od dwóch lat dzwonek na cmentarzu śpiewał jej matce.

wiecznego, a samotna Kasia po obcych domach szukała przytulku. To smutne życie Kasi przesunęło się przez główkę Haluni i łza litości jasna jak perła spłynęła na bańkę. Nagle okrzyk radości wyrwał się z ust wszystkich dzieci. Bo oto nie wiedziały, czy mają przed sobą gwiazdkę z nieba, czy cudnych kwiatów wiązanek, tak się owa bańka iskrzyła promykami, taka była złocista, to znowu różowa jak słońce, gdy wschodzi, niebieska, jak niezapominajki nad wodą, zielona, jak listki na jabłoni i przezroczysta jak woda w jeziorze. Rosła przytem rosła i rosła, wreszcie oderwała się od słomki, zaczęła bujać i chwiać się w powietrzu, jakby się kłaniała na pożegnanie dzieciom, które rączki ku niej wyciągały — wreszcie pomknęła ku górze.

Chcecie wiedzieć dzieci co się dalej stało z bańką wyrosłą z łzy litosnej? Słuchajcie, opowiem wam:

Lekki wietrzyk niósł ją, jak na skrzydłach ku niebu. Ach, jakaż to śliczna była podróż! Cała ziemia była u jej stóp! Góry gdzieś bielily się śniegiem, na łąkach młodzianka zieleniła się trawka, a w rzekach i stawach przeglądało się słońeczko.

Zdaleka, zdaleka nadeściagała gromada jaskółek. Na widok ślicznej bańki zwolniły lotu i przyglądały się jej ciekawie.

— Jak się nazywacie ptaszęta i gdzie lecicie? — spytała bańka.

— Jesteśmy jaskółki polskie. Lecimy z ciepłych krajów, wiosnę opowiedzieć i zbudować gniazda nad oknami polskich chat — odpowiedziały ptaszki.

— A dlaczego nie zostałyście za morzami? Tam zawsze ciepłe lato, a tu mroźne dmą wiatry.

— O, nie tam ojczyzna, gdzie dobrze! — zawołały chórem jaskółki. — Tu wracamy z radością, choć trudna nasza podróż. Skrzydełka słabną nam w drodze, niejedna z nas w morzu utonie, a przecież za żadne skarby nie zostaliśmy w obcej ziemi.

Bańce podobała się ta odpowiedź bardzo.

Wtem zbliżył się do niej motylek tak ładny, jakby latający barwny kwiatek, ale przytem tak przelekły, że litość zdjęła bańkę nad biednym stworzeniem.

— Czego drżysz malutka istotko i kto ci co złego zrobił? — spytała go bańka.

— Zły ptak goni mnie i dziób na mnie otwiera, a ja dzisiaj dopiero ten śliczny świat



ujrzałem, żyć chcę, kąpać się w promykach słonecznych i słodczy z kwiatów spróbować.

Bańka rozwarła się, zamknęła w sobie motylka i uratowała mu życie.

W górze, w górze, skąd aż strach było spojrzeć na ziemię, spotkała płynące chmurki. Nie dziwiła się im jednak i nie pytała o nic, bo się z nimi znała doskonale. Przed miesiącem bowiem była w chmurze jako drobna kropelka wody i z gwałtowną ulewą spadła na ziemię. Świat był wtenczas zamglony i ponury, więc nie podobał jej się tak, jak teraz, a chmury ołowiane, w których tkwiła wraz z innymi kropelkami, nie wyglądały tak ślicznie, jak te białe obłoczki. Wzniosła się ponad nie szybko i z góry patrzyła, jak płyną i przeganiają jedna drugą, jakby baranki na łące.



Za chwilę zapomniała całkiem o chmurkach, bo oto nad nią tuż, tuż, rozciągało się niebo. Cicho było wszędzie, tylko z góry dochodziły śpiewy aniołów. Bańka zbliżyła się do furty niebieskiej i zlekka tylko o nią trąciła. Ale, że nie tak prędko nieba nie otwiera, jak litość, więc też bańce, na której była Iza litości Halusi, a wewnątrz bezbronny, uratowany przez nią motylek. natychmiast otwarły się drzwi niebieskie i jasność wielka objęła ją dokoła. Była w niebie...

W pierwszej chwili drżała ze wzruszenia tak mocno, że się zdawało, iż rozprysną się cienkie jej ścianki. Bo cóż ona zobaczyła w tem cudnem niebie!

Zaraz niedaleko furty niebieskiej igrały małe aniołki. Wszystkie miały złote loczki i wianuszki na głowie, a srebrne skrzydełka u ramion. Do koszyczków z tęczy zbierały kwiatki, aby je podesłać pod nogi Matce Boskiej. A każdy zerwany kwiatek odrastał natychmiast na krzaczku. Bańka usiadła na jednym koszyczku, a aniołki zanosły ją razem z kwiatami przed tron Matki Boskiej. Tu już przymknęła oczy z zachwytem. Na tronie z lili siedziała cudna Bogarodzica w białej jak śnieg szacie. Do rąbków Jej sukni tuliły się precudne kwiaty, jakich nigdzie na ziemi nie ma. Dwanaście złotych gwiazd ustawiło się nad Jej głową, jakby w koronę. Lice miała cudnie piękne, święte i łagodne. Oczy zwróciła na Syna swego, przed którym chóry aniołów śpiewały: „Święty, święty, święty“.

Tymczasem słońce ogniste chyliło się za góry, na ziemi zapalały cienie wieczorne.

Nagle rozległ się po niebie szum skrzydeł. To anioły-stróże przyniosły z ziemi pacierze dzieci, które zabierały się do snu i składały je u stóp Matki Boskiej. Każdy paciorek zamieniał się w promyk kolorowy, a małe aniołki plotły i wiły radośnie z tych promyków długą i śliczną wstęgę, aby ją na drugi dzień przetrzucić przez niebo i ludzkim oczom pokazać. Ludzie tę wstęgę nazywają tęczą.

Najświętsza Panienska uśmiechała się dobrotliwie, jak najlepsza matka, potem wyciągnęła święte ręce i błogosławiła całą ziemię. Owych zaś białych aniołów-stróżów posłała napowrót na ziemię najpierw do sierotek bez matki, potem do wszystkich dzieci, aby swe opiekuńcze skrzydła rozciągnęły nad ich łóżeczkami.

Bańka była bardzo szczęśliwa i rozrzewniona, wszyskiem, czego doświadczyła w swojej podróży.

Widziała, jaki śliczny ten świat boży, jak Bóg rozumnie i z miłością nim rządzi, jak każde stworzenie oddaje Mu chwałę, więc i ona chciała złożyć ofiarę, a że nie miała nic innego prócz swoich kolorowych ścianek, więc rozplynęła się i wplotła sama do barwnej tęczy, którą wiły aniołki.

Motylek wyfrunął swobodny, otrząsnął skrzydełka, przyleciał na ziemię i opowiedział owym dobrym dzieciom z białego domku o podróży bańki.

Wiktorya Hozerowa.



Trzy srebrne rybki.



rebrzyste trzy maleńkie rybki mieszkały ze swoją mateczką w małym, leśnym potoku, w chłodnym i ciemnym zakątku. Cień ten i chłód padał na strumyk od drzew i krzewów, które rosły nad jego brzegiem.

Zagląając ze swego ukrycia, spostrzegły małe, srebrne rybki, że tam niżej wody potoka połyskują w słońcu, które je ogrzewa swymi, jasnymi promieniami.

— Mateczko — zawołały raz rybki — dlaczego nie zaprowadzisz nas tam, gdzie słońce świeci tak jasno, tam bawiłybyśmy się wesoło. A ty, nasza matuchno więzisz nas tu pod kamykami w takim ciemnym, smutnym zakątku.

— Nie wszystko złoto, co się świeci — odparła mateczka — tam mieszka zły szczupak, który połyka małe rybki. Pamiętajcie, strzeżcie się go!

Jednego dnia popłynęła mateczka szukać pożywienia, ale zanim się oddaliła, napomniała dzieci:

— Pamiętajcie, aby żadne z was nie odważyło się wyjść z pomiędzy kamyczków, bo może wam stać się co złego.

Rybki przyrzekły, że usłuchają mateczki i będą się bawiły grzecznie w swoim kąteczku.

Gdy matusia odpłynęła, rzekł najstarszy braciszek:

— Co będziemy się tu dusić między kamieniami i ocierać się ciągle o nie, podpłynimy w górę, tu przecież nie ma złego szczupaka.

Ale dwie inne rybki nie chciały go słuchać i mówiły:

— A coby to powiedziała mateczka, gdyby nas zastała tak na powierzchni wody?

Ale najstarszy brat odpowiedział:

— Mateczka nie będzie o tem wiedzieć; gdy ujrzymy ją zdaleka, umknijemy przedziuchno i wsuniemy się pomiędzy kamienie. — To rzekłszy, uniósł się w górę, a za nim popłynęła średnia siostrzyczka, ale najmłodsza nie dała się skusić i została sama między kamykami.

Wypląwszy na powierzchnię, obie rybki igrały wesoło, a po chwili rzekł braciszek:

— Tam tak pięknie błyszczy słońce. Chodź, poigramy tam tylko chwilkę i tak już przekroczyliśmy zakaz matki. Widzisz, nie nam się tu złego nie stało, czy myślisz, że szczupak nie ma nic lepszego do roboty, tylko czekać na nas, aby nas połknąć.

Ale siostrzyczka nie chciała usłuchać złej rady, spuściła się w dół i ukryła się wśród kamieni. Zuchwały braciszek popłynął i szczupak połknął go zaraz. A gdy mateczka wróciła do domu i najstarszego synka nie zastała, zmartwiła się bardzo i płakała mocno, a obie siostrzyczki płakały razem z mamą.

Niedługo potem musiała znowu mama popłynąć, wówczas starsza, srebrna rybka, która już raz z braciszkiem igrała na powierzchni wody, rzekła do młodszej:

— Chodź siostrzyczko, popływamy i poigramy na wierzchu wody, tam tak pięknie i przyjemnie. Tylko chwilkę, chwileczkę.

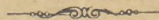
— Zapomniałaś już o złym szczupaku, co połknął braciszka?
— zapytała mała siostrzyczka.

— Ale mynie pójdziemy aż tam, gdzie błyszczy słońce, zostaniemy tu w cieniu.

— Nie — odrzekła najmłodsza siostrzyczka — nie pójdę z tobą, mama zakazała.

Starsza popłynęła sama, ujrzała robaczka, połknęła go i zawisła na haczyku wędki.

Gdy mateczka rybka wróciła, zastała już tylko jedno dziecko pokochała je jeszcze mocniej, niż dawniej; a teraz, gdy mała rybka podrosła, pływa z nią często tam, gdzie słońce błyszczy, a gdzie nie ma złych szczupaków.





DZIEŃ DOBRY KICIU !

DZIEŃ DOBRY KICIU!

(Do ryciny).

— A, dzień dobry panno kiciu,
Jakże się dziś spało?
Czy też grzecznie, bez grymasów
Zasnąć się udało?
A przy myciu, przy śniadaniu,
Jak się sprawowało?
I czy mamę cały dzionek
Będzie się słuchało?



Podanie o skowronku.

Raz do oracza na jałowej ziemi zszedł Pan Bóg jego przyglądnać się pracy. A rolnik dumiał i w ziemię patrzył oczyma smutnymi. Stwórca zaś przed nim stanął i zapytał:

— I jakże ci się powodzi?

A on się ocknął i odrzekł:

— Źle Panie, ciężko mi dźwigać taką pracę srogą, a nie mam podczas pracy przy sobie nikogo.

I westchnął przytem żałośnie, głęboko, że miłosierny Bóg zwrócił nań oko, wziął grudkę ziemi, śmignął nią do góry, a z grudki wzleciał ptaszek szaropióry i zatrzepotał skrzydełkami w górę i zaczął śpiewać nad rolnika głową. I odtąd w każdy pracowity dzionek witał go piosnką wesolą skowronek i latał nad nim, nad głową się wspinał i o miłosierdziu Boga przypominał.

— Śpiewaj, ptaszyno, Bogu o tej ziemi, którą do pracy budzisz tony swymi i o oraczach, co w tę ziemię czarną w znoju i trudzie zasiewają ziarno.



Nowy Robinson.



etnie słońce świeciło jasno, wesoło i zaglądało przez okno do pokoju, w którym pracowało troje dzieci: Henryś, Julek i Zuzia. Ośmioletni Henryś pisał zadanie, o rok od niego młodszy Julek odmieniał czasownik: biegać, a najmłodsza Zuzia stawiała piórem na papierze trochę krzywe znaczki, a nad nimi kładła wielkie kropki, bo znaczki te miały przedstawiać *i*. Od czasu do czasu dziewczynka wzdychała ciężko, zatrzymywała rączkę w ruchu i zwyczajnie w tem miejscu pióro rozlewało trochę więcej atramentu i pozostawiało plamę.

— Co tobie Zuziu? — zapytał Henryś, który przestał pisać i wyciągał muchę z kałamarza.

— Ach, to tak nudno siedzieć w pokoju i pisać *i*, kiedy w ogrodzie tak ładnie.

— Oh, tak! — westchnął Julek.

— Oh, tak! — zawtórował mu Henryś — wolałbym być Robinsonem.

— A co robił ten Robinson? — zapytała Zuzia.

— Był sam jeden na wyspie i robił co mu się podobało.

— Nie pisał zadań? — zapytał Julek.

— Nigdy — zapewnił stanowczo Henryś — na jego wyspie nie było ani piór, ani papieru.

— Jakiż on był szczęśliwy! a jakże on dostał się na taką wyspę, gdzie nie ma ani piór, ani papieru?

— Razu pewnego, gdy jego mama wyszła, on uciekł z domu, schował się do okrętu, w tym okręcie popłynął na morze, okręt zatonął, a on się uratował sam jeden.

— Jak się uratował?

— Na desce dopłynął do wyspy.

Potem wyjaśnieniu nastąpiła chwila milczenia; w końcu rzekł Julek:

— I ja chciałbym być na wyspie, gdzie nie ma piór, ani papieru, ale nie chciałbym się topić z okrętem, bo się boję.

— Ależ u nas nie ma ani morza, ani okrętów — odparł Henryś.

— Więc my nie moglibyśmy się dostać do kraju, gdzie nie ma piór, ani papieru.

— Moglibyśmy się dostać do lasu i tam żyć swobodnie.

W tej chwili drzwi przyległego pokoju otworzyły się, a w nich ukazała się mama, niosąc na tacy trzy śliczne jabłuszka i trzy bułeczki. Rozmowa ucichła, trzy główki pochyliły się nad stołem i trzy ręczki posuwały się szybko po papierze. Mama zaglądała do zeszytów, a widząc, że zadania nie skończone, rzekła:

— Jeszcze macie dużo do roboty. Podwieczorek poczeka, aż ukończycie. — To rzekłszy, postawiła tacę z jabłuszkami na stole, a sama usiadła przy oknie z robotą w ręku. Dzieci pisały pilnie, ale myliły się ciągle, bo myśl ich zajmował Robinson, wyspa bez piór i atramentu, las, a nawet jabłka leżące na tacy. Wreszcie skończyli, mama im dała jabłuszka i pozwoliła pobiegnać do ogrodu.

— Jaka szkoda — rzekł Julek, biegnąc po ścieżkach — że ten ogród nie jest lasem bezludnym. Czy las ztąd daleko, Henrysiu?

— Ja myślę — odrzekł Henryś — że wyszedłszy teraz, przed wieczorem byłibyśmy w lesie.

— A więc chodźmy!

— Ale trzeba zabrać nasze rzeczy — rzekła poważnie Zuzia.

— Robinson nie miał nic oprócz noża.

— A cóż będziemy jedli?

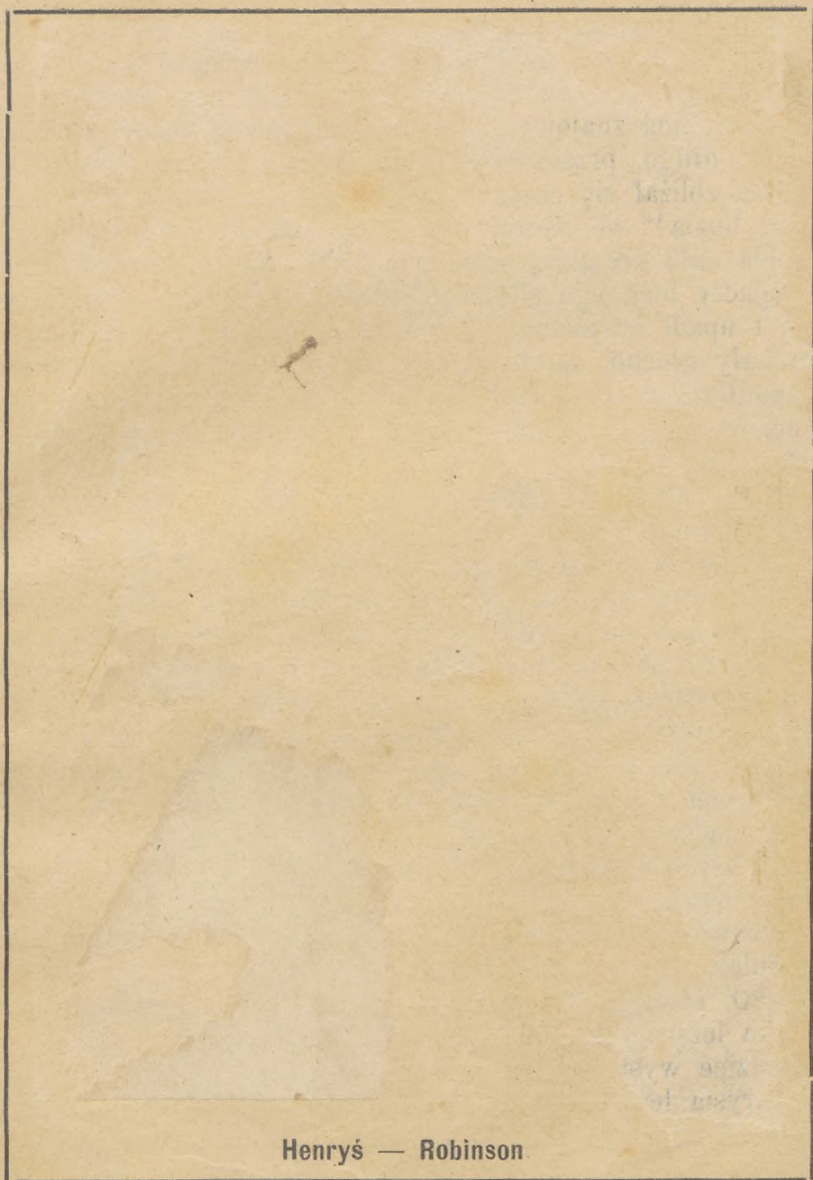
— W lesie rosną owoce. Chodźmy, zobaczycie, jaka to swoboda! Żadnych zadań, ani książek nie będziemy widzieli — to mówiąc, Henryś ruszył za furtkę ogrodu, a za nim Julek i Zuzia.

Szli czas jakiś brzegiem strumyka, Henryś opowiadał im ciągle o Robinsonie, a oni słuchając ciekawej historii, oddalali się coraz bardziej od domu, nagle Zuzia rozplakała się głośno.

— Ja nie chcę bez mamy! ja wrócę do mamy!

Daremnie Henryś przedstawiał jej rozkosze, jakie ich czekają w bezludnym lesie. Zuzia nie słuchała, ciągle wołała tylko: „Ja chcę do mamy“.

— Oto tak puszczać się na przygody z dziewczętami. Jak chcesz, to wracaj do mamy, a ja z Julkiem pójdziemy w las. Mężczyzna każdy, jak co postanowi, to zawsze spełnia.



Henryś — Robinson

— Ja sama nie pójdę do mamy! ja się boję! — płakała Zuzia.

— Odprowadź ją kawałek drogi ku domowi, aż do kapliczki i sam wracaj co prędzej — rzekł Henryś do Julka — a ja tymczasem będę szedł powoli tą drogą.

Julek podał rączkę płaczącej Zuzi, a Henio poszedł dalej drogą. Z początku szedł odważnie i śmiało, ale gdy zbliżył się do lasu, gdy cienie drzew zasłoniły jasne promienie światła i chło-

peu zrobiło się w duszy ciemniej i smutniej; odwaga opuszczała go powoli, zaczął się oglądać za Julkiem i sam nie wiedział, czy iść dalej, czy czekać na braciszka. Naraz usłyszał jakieś oddalone głosy, nawoływanie, szczekanie psów. Hałas ten przeraził go. Pewno jedzie ktoś znajomy, pomyślał, trzeba się ukryć. I nie namyślając się długo, przeskoczył rów i boczną ścieżką pobiegł w las. Ale hałas zbliżał się coraz bardziej, naraz Henryś usłyszał głos: „Huzia! huzia!“ — zaczął uciekać co sił mu stało, a tuż za nim pomknęła cała gromada psów gończych. Krótka trwała gonitwa. Psy dopadły biednego chłopca, który potknął się, uderzył głową o pień i upadł na ziemię. Psy stanęły jak wryte nad Henrysiem i czekały głośno, ale żaden nie rzucił się na niego. Biedny chłopak upadłszy, nie wiedział co się dzieje, zamknął oczy i zdawało mu się, że śni mu się to wszystko, a potem już całkiem stracił przytomność.

W tej chwili dwóch mężczyzn w stroju myśliwych stanęło nad chłopcem.

— Ależ to nie zajac, lecz dziecko — zawołał jeden.

— Biedny chłopak, toż to się biedactwo przestraszyło. Ale patrz, krew ma na czole. — To mówiąc, przystąpili do dziecka.

Pokazało się, że Henryś padając, przeciął sobie skórę na czole o pień drzewa, rana nie była niebezpieczna, ale chłopczyk stracił przytomność z bólu, a może więcej ze strachu. Myśliwi umyli czoło Henrysia wodą z blizkiego potoka, zawiązali mu głowę chustką, a jeden z nich wzięwszy go na ręce, wyniósł na kraj lasu.

— Siądźmy tu — rzekł — i poczekajmy aż wróci do przytomności i powie nam, jak się nazywa i skąd jest, bo pewno go rodzice szukają.

Zaledwie to wymówił, aż tu nadjechał powóz, a w nim siedzieli Julek, Zuzia, mama i tatko.

— O, Henryś, Henryś! — zawołał Julek, ujrawszy zdaleka braciszka leżącego na kurtce myśliwskiej.

Rodzice wyskoczyli z powozu, przerazili się bardzo, ujrawszy Henrysia leżącego bez przytomności, ale w tejże chwili chłopak otworzył oczy i zawołał radośnie: „Mamo! Ojciec!“

Odtąd nie marzył już nigdy o przygodach Robinsona, ani o wyspie, na której nie ma piór, ani papieru.

TALARY.

Była sierotka bez ojca i matki. Została w takiej nędzy, że nie miała ani łóżka, ani kącika, w którymby mieszkać mogła. Miała tylko ubranie na sobie i kawałek chleba, który jej litościwa ręka podała. Dziewczynka była dobra i pobożna.

Czując się tak opuszczoną przez wszystkich, wyszła w pole, ufając Panu Bogu.

W tem spotkała ubogiego, który powiedział: „Daj mi co jeść, umieram z głodu“. — Dziewczynka podała mu cały swój kawałek chleba, mówiąc: „Zostańcie z Bogiem“ — i poszła dalej.

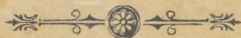
Wkrótce dziecko z gołą głową*zabiegło jej drogę mówiąc: »Tak mi zimno w głowę! Daj mi jakie okrycie!« — Dziewczynka oddała chusteczkę, którą miała na głowie.

Po chwili spotkała dziecko bez kaftaniczka i oddała swój, a innemu oddała spodniczkę.

W końcu ściemniło się i dziewczynka weszła do boru. Jakieś dziecko wybiegło naprzeciw niej i prosiło o koszulkę. Dziewczynka pomyślała sobie: »Ciemno, nikt mnie nie zobaczy, mogę oddać koszulę«. Zdjęła koszulę i oddała ją dziecku.

W tem, gdy tak stała, gwiazdy poczęły spadać z nieba. Nie były to gwiazdy, tylko bite talary. Spostrzegła także, że ma na sobie koszulę z lnu najcieńszego. Pozbierała talary i była odtąd bogatą aż do śmierci.

Z bajek braci Grimmów.



Dwaj więźniowie.



W jednym pokoju byli zamknięci dwaj więźniowie. Jeden z nich był to mały, jasnowłosy chłopczyk, a drugi szczygiełek pstropióry. Chłopczyk był niegrzeczny więc zamknięto go za karę w po-

koju. Ptaszek śpiewał śliczne, wesołe piosenki, więc chłopczyk go złapał i do klatki wsadził.

Chłopczyk siedział z nóżkami podgiętymi pod siebie, w dużym, miękkim fotelu, łokcie oparł na poręczach, brodę podparł dłońmi i patrzył smutny w dal, na pole, gdzie wesoło bawili się koledzy. Szczygiełek siedział w złoconej klatce, w kryształowych naczynkach miał ziarna podostatkiem, ale nie jadł,

nie śpiewał, lecz milczał i patrzył w dal na drzewa, gdzie między gałązkami igrały ptaszki i śpiewały pieśń wesołą.

Uwięziony chłopczyk rozmyślając o swej niedoli, pojął niedolę ptaszka, przypomniał sobie, jak szczygiełek śpiewał wesoło na swobodzie, przystąpił do klatki, a w oczach jego błysnęły łzy jasne.

Gdy tak stał przy klatce, weszła jego matka, a zobaczy-

wszy łyzy w oczach syna, ucałowała go i szepnęła mu w u-
szko, aby zawsze był grzeczny i wyjść z więzienia pozwoliła.
A chłopczyk zarzucił ręce na szyję mateczki i wyszeptał:

— Pozwól i szczygiełkowi wyjść z klatki, niech i on
szczęśliwy i wesoły będzie.

Ciocia Hania.



Zabawy w ogrodzie lub na polu.

I.

Gąski do domu !

Do zabawy tej potrzeba co najmniej pięciorga dzieci, a może
być i bardzo wiele. Jedno jest *gospodarzem*, drugie *lisem*, re-
szta *gąskami*. Gospodarz staje w pewnym oddaleniu od reszty
dzieci. W koło niego, przed rozpoczęciem zabawy należy za-
toczyć koło, albo żłobiąc laską ziemię, albo wysypując koło pia-
skiem, lub trawą. Koło powinno być dosyć duże, aby w niem
swobodnie mogły się pomieścić wszystkie dzieci biorące udział
w zabawie. Lis staje z tyłu za gospodarzem, poza obwodem
koła. Przed gospodarzem o kilkanaście kroków oddalone są
gąski.

Zabawę zaczyna gospodarz, wołając:

Czas do domu, gąski czas !

Bo już noc zapadnie wraz.

Gąski: Nie możemy wracać, nie !

Gospodarz: Dlaczego?

Gąski: Bo lis czatuje tam!

Gospodarz: Gdzie?

Gąski: U twoich bram.

Gospodarz: Nie ma go, nie!

Gąski: Widzimy go za tobą tam!

Gospodarz: Czegoż od was chce?

Gąski: Porwać i zgnieść,
Zabić i zjeść!

Gospodarz: Śmiało uciekajcie,
Złapać się nie dajcie!
Do mnie gąski, tu,
Spieszcie się co tchu!

Gdy gospodarz powie ostatnie słowo, gąski biegą ku niemu, lis wypada z poza jego pleców i stara się porwać jedną gąskę. Gąski uciekają jak mogą w lewo i prawo, ale każda powinna w końcu dostać się do koła, gdzie już jest bezpieczna, bo lisowi do wnętrza koła wejść nie wolno. Którą gąskę lis złapie, ta daje fant, zostaje lisem, a gra zaczyna się na nowo. Gospodarze powinni się też zmieniać, a jeżeli wśród bawiących się jest dziecko słabowite, lub takie, co nie może szybko biegać, to należy je wybierać na gospodarza.



Powinszowanie.

Ledwie pierwszy blask na niebie
Ubrał kwiatki w srebrną rosę,
Ja pierwszy biegnę do Ciebie
I serce Ci moje niosę;
W niem jedno uczucie splata
Wszystkie dla Ciebie życzenia.
Jabym chciał dziś skarby świata
Dać ci Ojczy w dniu Imienia.
O, niech szczęście zajaśnieje,
Niechaj życie krasi zdrowie,
Przyszłość ziszcza Twe nadzieje,
Pokój błogi Twojej głowie,
A gdy wszystko Ci radosne
Będzie jaśnieć w każdej dobie,
Ja wdzięcznością, kiedy wzrosnę,
Życie Tobie przyozdobię.





NIE SŁUCHAŁA MATECZKI.

W samym kącie ogrodu była sadzawka. Po brzegach jej rosły trzciny i sitowie, a na powierzchni nigdy nie czyszczonej wody, zieleniły się porosty i rosły wielkie liście i ogromne, białe, pełne kwiaty wodnych lili.

W sadzawce tej mieszkało niezliczone mnóstwo żabek. Wieczorem wyskakiwały na wielkie liście wodnych lili i kołysały się na nich, jak na huśtawkach.

Tuż nad stawem przelatywały panny wodne, unosiły się komary, w wodzie pływały malutkie rybki, na liściach siedziały ślimaczki, więc dość było roztworzyć pyszczek lub skoczyć w wodę, aby uchwycić zdobycz. To też żabki nie zaznały prawie nigdy głodu, śpiewały więc wesoło i cieszyły się życiem. Wieczorem schodziły się na muzykalne zebrania i wtedy rozbrzmiewały wesołe tony żabiego koncertu.

Pewnego razu mama żabka wyprowadziła młodziutką swoją córeczkę po raz pierwszy na zebranie muzykalne. Młoda żabka cieszyła się bardzo, bo dopiero wczoraj wyrosły jej przednie nóżki i z brzydkiej kijanki przemieniła się w piękną, dorodną, doskonałą żabkę. Gdy wypłynęła na powierzchnię stawku, ujrzała już całe towarzystwo zebrane, wyspiewujące pięknie, pod kierownictwem pana kapelmistrza. Żabka wpatrzyła się w niego z zachwytem i otworzywszy pyszczek, słuchała ciekawie.

— Naraz kapelmistrz zawołał gwałtownie: Kwak, kwak, kwak, uciekajcie co tchu!

Wszystkie żabki zniknęły natychmiast i młoda żabka wraz z innymi skoczyła w wodę. Pełen ruchu i gwaru staw zaległa cisza.

— Re, re, re, co to się stało mateczko, że kazano nam uciekać? — zapytała córeczka, gdy już była ukryta bezpiecznie w głębi wody.

— Kwa, kwa, kwa, nie widziałaś go? — zaskrzeczała matka.

— Kogo?

— Bociana.

— A kto to taki?

— Jestto największy nieprzyjaciel żabiego rodu. Czatuje nad bagnami i stawami, zapuszcza w nie długie, strasznie długie dziób i wyławia nim z wody i błot nasze siostry.

— I co z nimi robi?

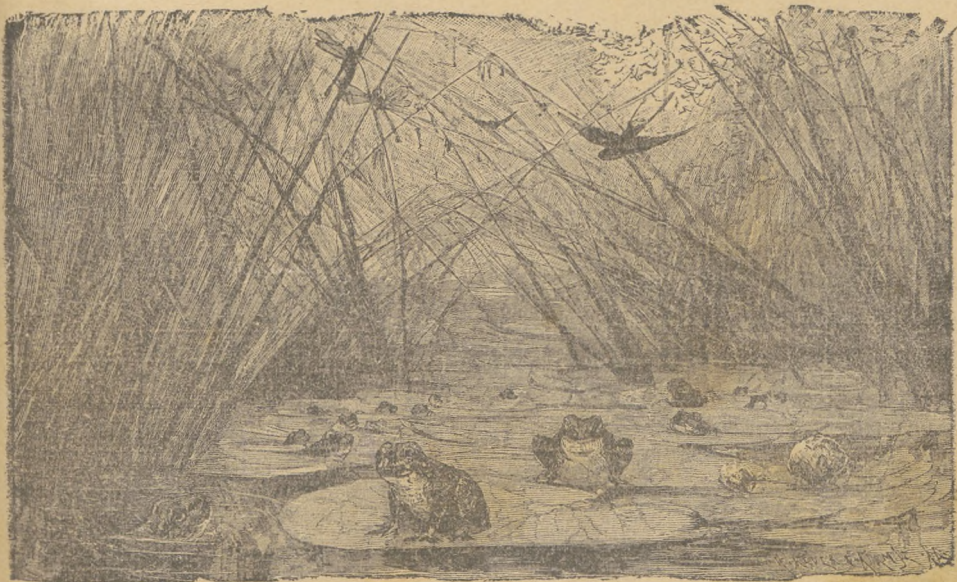
— To, co my z komarami, muszkami, młodziutkimi ślimaczkami. Połyka nas.

— Ja chciałabym go zobaczyć mamó!

— Pokażę ci go kiedyś, abyś wiedziała jak wygląda ten potwór, przed którym należy uciekać.

— Po co czekać? On musi stać nad sadzawką, ja wychylę głowę i zobaczę go.

— Broń Boże! — zawołała matka — nie wiemy, w którym miejscu on czatuje, więc możesz wpaść wprost w jego dziób.



— Sádzawka taka duża, dlaczegoż on miałby właśnie stać w tem miejscu, gdzie ja wypłynę — pomyślała młoda żabka i nie słuchając matki, podpłynęła w górę, ale za nim jeszcze wydobyła się na powierzchnię, ujrzała coś prześlicznego. Stał tam wysoki, smukły, biały ptak, końce jego skrzydeł były ozdobione czarnymi piórkami, a nogi i dziób były ślicznie pąsowe.

— Kwa, kwa, kwa! Cóż to za śliczne stworzenie — zawołała głośno żabka — a oni myśleli, że to potworny bocian.

Głos ten pełen zachwytu usłyszał ów piękny ptak, który stał nad brzegiem, zanurzył szybko długi dziób, a biedna żabka zdołała ledwie krzyknąć:

— Kwa, kwa, czemuż nie słuchałam mamy!



ZAGADKA.

Jako rycerz niezwalczony,
Jestem w boju nader srogi,
Mam na głowie hełm czerwony,
A przy nogach mam ostrogi;
Ludzie, którzy lubią we śnie
Odpoczywać na pościeli,
Budzę krzykiem swoim wczesnie,
By do prac się dziennych wzięli.
Pod opieki mej osłoną,
W podwórku wiejskiej zagrody
Wódzę towarzyszek grono,
Broniąc je od złej przygody,
Muzykalnym idąc torem,
Siadłszy sobie na chlewiku,
Często rankiem lub wieczorem
Wykrzykuję... (co?) *kukuryku*

Ludmiłka P.

OWIECZKI.

Mama owieczka miała dwie córeczki, były to śliczne, bieluchne jagniątko. Codzień rano szły one razem z mamą na łąkę i tam zajadały smaczną trawkę i wonne ziółka, a bawiły się z innymi, takimi jak i one same owczemi dziećmi.

Było im bardzo dobrze na świecie, bo miały mamę, co je kochała, pastuszką, co je wyprowadzała na łąkę, gdzie rosły wonne ziółka, miały dużego psa przyjaciela, co ich strzegł od przygody, miały ciepłą, suchą stajenkę, w której spędzały dni chłodne i dżdżyste. Mimo to wszystko, jedno z białych jagniąt nie czuło się szczęśliwe. Nudziło się w gronie rówieśnic, patrzyło na ptaszki, co fruwały w powietrzu, na kozy, co skakały żwawo i kłóciły się między sobą, na zajączki, co samopas uganiały po lasach i polach, i żałowało, że nie jest zajączkiem, kózką lub ptaszkiem. Odtąd wszystko złe mu było; nie smakowała mu soczysta trawka, gniewał pies, co odpędzał wilki i złodzieje, niecierpliwiał juhasik, co prowadził na łąkę, nie bawiło się już z siostrzyczką i innymi jagniętami, tylko dzień cały stawało zamyślane, a gdy je kto zaczepił, odwracało się i uciekało, jak zaperzone.

— Co tobie, moje dziecię kochane? — pytała matusia troskliwa o zdrowie córeczki.

— Nudzę się — odpowiedziało jagniątko.

— Nudzisz się w tak miłym i dobranem towarzystwie owczem? wśród łąk i gór? — I mama owca otworzyła szeroko senne oczy, nie mogąc zrozumieć, co się stało jej córeczce.

— Tak, chciałbym być zajączkiem, co buja w lesie swobodnie, biega, gdzie chce, a nie chodzi, jak my w stadzie.

— Ej, nie zazdrość zajączkowi, na niego tam w lesie czatują nieprzyjaciele: myśliwi ze strzelbami, lisy i inne dzikie zwierzęta.



— Nie cierpię naszego psa, co nie pozwoli ani na krok wyjść ze stada.

— Ależ to nasz przyjaciel, który nie dopuszcza do nas złych zwierząt.

— Chciałbym wspiąć się tam na górę, gdzie mieszka orzeł, stamtąd widać świat szeroki.

— Strzeż się orła, bo on mięsem naszym żywi swoje dzieci.

— Mama bo w całym świecie widzi samych nieprzyjaciół — mruknęło jagniątko — i kocha tylko psa i pastuszkę, a ja właśnie ich znieść nie mogę.

W południe słońce dopiekało mocno; najedzone do syta owieczki drzemały, leżąc w trawie, pastuszek położył się także i zasłonił oczy od palących promieni słońca szerokimi kresami kapelusza, pies tylko czuwał nad stadem. Ale w końcu i on przekonawszy się, że z nikąd nie grozi niebezpieczeństwo usnął, pewny, że nawet przez sen zwietrzy nieprzyjaciela, gdyby jaki się skradał do powierzonych jego straży owieczek.

Nie spało tylko białe jagniątko. Wstało cichutko i pomyślało:

— Teraz albo nigdy, czas do ucieczki. Pójdę w lasy, pójdę w góry i tam będę żyła swobodnie, będę biegać, gdzie mi się żywnie podoba i nikt nie będzie mnie napędzał do stada.

Tak myśląc, szło sobie jagniątko i szło dalej; szło i sta-
wało, wciągało pełnemi piersiami powietrze, czuło się bardzo
szczęśliwe i nie zauważyło, że jasne niebo zasnuło się szaremi
chmurami; spostrzegło to dopiero, gdy zaczęło błyskać. Przera-
żone jagnię zamknęło oczy, a tu w ślad za błyskawicą rozległ
się długi, przeciągły grom. Przerażone jagniątko spojrzało do-
koła, ale nigdzie nie było ani dachu, ani drzewa, pod które
mogłoby się ukryć. Wtuliło więc pod siebie ogonek, spuściło
uszki i stało bezradnie, aż uczuło, że grube krople deszczu za-
częły je uderzać po grzbiecie.

— Be... be... be... — zapłakało jagnię — mammo!

Mama była daleko i nie słyszała głosu swojej pieszczotki
ale usłyszał go orzeł, wracający do gniazda, do głodnych orląt,
dla których nic nie udało mu się upolować, bo wszystkie leśne
zwierzątka pochowały się przed burzą w gniazdka i nory.

— Jagnię! — zawołał orzeł, spojrzał w dół, spuścił się
szybko, zatopił szpony w ciało jagnięcia i uleciał razem ze
zdobyczą.

W tej samej chwili
nadbiegł pasterz, szu-
kający jagniątko, ale
już było za późno...



Sprzeczką.

Janek z Helenką wiódł sprzeczkę od rana,
Ale to sprzeczkę niemałą,
O to, jak lalka ma być dziś ubrana,
W żółtą sukienkę, czy w białą?

Nie wiem — bom wyszedł z samego początku,
W jaką się lalka ubrała?
Widziałem tylko, jak Jaś w jednym kątku,
A w drugim Helcia płakała.

A tutaj dziatwa, wśród świeżej murawy,
Wyprawia figle i pląsy!...
Helenka z Jasiem aż drżą do zabawy,
Ale wstrzymują ich dąsy.

Tak się dąsali do późnego zmroku,
Gorzkiemi pojąc się łzami;
Aż ojciec rzekł im — patrząc na to z boku:
»Nieżgodni karzą się sami!«

Wł. Belza.



Zaraz, zaraz i natychmiast.

Były dwie siostrzyczki, jedna nazywała się Lunia, a druga Dziunia, ale w domu nazywano je żartem panną Zaraz i Natychmiast, gdyż ile razy kazano im co spełnić, to Dziunia odpowiadała zawsze: zaraz, zaraz, a tymczasem bawiła się, albo robiła co innego, a Dziunia spełniała natychmiast polecenie mamy lub nauczycielki.

Obiedwie dziewczynki mieszkały w ładnym, jasnym pokoiku, obok pokoju mamy. Jednego poranku zbudził Dziunię jakiś szmer, jakby padającej kroplami wody. Nie otwierając oczu, zapytała siostrzyczki:

— A co to deszcz pada na dworze?

— Nie — odpowiedziała, śmiejąc się wesoło Lunia, która myła się i zlewała szyję i ramiona wodą. — Wstawaj, wstawaj, a przekonasz się, że słońce świeci prześlicznie.

— Zaraz, zaraz — odpowiedziała Dziunia — w łóżku tak miło. Gdy wyrosnę, to co rana każę sobie do łóżka przynieść czekolady i ciastek. Ach to będzie raj.

— Czekolada i ciastka, to wyborne rzeczy — odrzekła Lunia — ale ja wolę wstać rano, pobiegnąć do ogrodu, gdy jest jeszcze rosa. Ach, jak to ślicznie, gdy rosa błyszczy na kwiatkach, jak brylanty! Wstawaj, wstawaj! zerwiemy bukiet dla rodziców, słyszałam, jak tatko mówił wczoraj do mamy, że dziś jest rocznica ich ślubu, to się ucieszą, gdy damy im kwiaty — na twoim krzaczku były wczoraj dwa śliczne pączki róży!

— Ale ty już gotowa, a ja jeszcze w łóżku, już nie zdążę.

— Wstawaj tylko prędko, ja pójde zobaczę, czy już nakrywają do śniadania i wrócę zaraz.

I Lunia wybiegła, a Dziunia obróciła się do ściany i zamknęła oczy. Już zasypiała na nowo, gdy w tem Lunia wróciła i zawołała:

— Janko, jeszcze nie wstałaś? Zaraz będzie ósma. Służąca niesie już nasze mleko. Nie zdążymy przed lekcją zrobić bukietu dla rodziców.

I podczas, gdy Dziunia zaczęła powoli naciągnąć pończoszki, Lunia mówiła:

— Ubieraj się prędko, pomogę ci pozapinać sukienkę. Ale dlaczego nie zapięłaś bucika?

— Bo wczoraj oderwał się guziczek i zapomniałam go przyszyć.

— W mojem pudełku są nici czarne, przyszyj teraz.

— Teraz już nie ma czasu. Pobiegnę do ogrodu z rozpiętym trzewiczkiem, a gdy wrócę, przyszyję guziczek.

W chwilę potem obie dziewczynki pobiegły do ogrodu, każda ku swoim krzakom i grządkom. Naraz Dziunia zaczęła wołać: »Mój bucik, mój bucik!« Lunia przybiegła do niej, pytając, co się stało?

— Zgubiłam bucik — odpowiedziała Dziunia, usiadła w trawie i zaczęła płakać. Lunia tymczasem biegała w koło, rozgarniała trawę, szukała wszędzie, ale bucika nie było nigdzie.

— Wróć bez bucika, podaj mi rękę, będę skakać na jednej nodze, bo boję się stąpić między mrówki.

Ale zaledwie postąpiła dwa kroki, Lunia zawołała: »Jest twój bucik! siedziałś na nim!« Dziunia ubrała bucik, obie wzięły w rękę zerwane kwiaty i pobiegły do domu. Ale tu już na progu czekała na nie nauczycielka, więc już nie było czasu pobiegnąć do rodziców.

— Odłóżcie wasze powinszowanie na później, pójdziecie do mamy po lekcji, bo już wybiła dziewiąta.

Lunia spuściła smutnie główkę. Ach, ona tak pragnęła raniutko powinszować mamie, a tu przez lenistwo i nieporządek Dziuni straciły tyle czasu, że już teraz nie mogły pobiegnąć do rodziców.

— Powinszujemy przed obiadem, ubierzemy stół kwiatami — pocieszały się dziewczynki — mama i tak nie spodziewa się powinszowań, bo nikt nam nie mówił, że to dziś rocznica ślubu rodziców, zasłyszaliśmy o tem przypadku. — Tak rozmawiając, Lunia nalała wody do kielicha i wstawiła weń swoje kwiaty, Dziunia rzuciwszy na okno zerwaną wiązanekę, pobiegła do swojego pokoju.

— Dziuniu — wołała siostrzyczka, odchodząc — wstaw kwiaty w wodę, bo zwiędną.

— Zaraz, zaraz — odpowiedziała Dziunia i pobiegła dalej.

Dziewczynki uczyły się pilnie, napisały zadania, skończyły lekcję i zapytały służącej, gdzie mama?

— Pani wyszła na wieś do chorej Mateuszowej i wróci aż za godzinę, odchodząc, powiedziała, żeby panienki po lekcji

zabawiły się w ogrodzie, zanim pani wróci i oglądnie dzisiejsze zadanie.

Lunia i Dziunia pobiegły na górę do swego pokoju, ale tu czekała je nowa przykrość. Oto Dziunia po lekcji nie schowała kałamarza i zeszytu, ale zostawiła je na stole. Widocznie mała kotka, ulubienica dzieci, wyskoczyła na stół i przewróciła kałamarz, bo oto na zeszytcie zostały ślady kocich łapek, umaczanych w atramencie.

— Ach, moje zadanie, bez żadnego błędu napisane tak starannie! — zawołała Dziunia, zalewając się łzami. Lunia stanęła obok siostry przerażona.

— Nie ma rady, musisz przepisać zadanie, bo mama zmarłaby się, a my przecież chcieliśmy jej ten dzień uprzyjemnić.

Dziunia westchnęła ciężko. Wyjęła ze stolika nowy zeszyt i siadła do pisania. Lunia tymczasem z pomocą służącej wytarła stół i wyczyściły plamy z atramentu, potem zdjęła z nóżki Dziuni trzewik i przyszywała guzik. Cisza panowała w pokoju, tylko słychać było skrzyp pióra Dziuni i skrzyp igły, którą Lunia wciskała z trudem w skórzany trzewik siostry.

Nareszcie zadanie było skończone i guziki do bucików przymocowane. Obie dziewczynki wzięły lalki i pobiegły do ogrodu. Lunia szyła fartuszek, a Dziunia właśnie rozebrała swoją lalę, chcąc ją ubrać w inną sukienkę, gdy w tem ujrzały mateczkę idącą lipową aleją. Pobiegły przedziutko ku niej, wołając: »Dzień dobry! mamusi!«

— Dzień dobry moje dzieci! — odpowiedziała mama, całując obie w główki. — Dobrze, że was widzę, właśnie mam dla was polecenie. Wysłałam dziś wcześniej odwiedzić chorą Mateuszowę i nie zdążyłam wydać niektórych rozporządzeń. Więc ty Luniu pobiegnij do ogrodnika i powiedz mu, aby dał do obiadu truskawki i brzoskwinie, a ty Dziuniu idź do klucznicy i powiedz, aby dała kucharzowi śmietany, będzie legumina z kremem.

— Ach, cóż to za przysmaki będą dziś na obiad! — zawołała Lunia, oblizując usta języczkiem.

— Wiem, że lubicie leguminę z kremem, tylko spiesz się Dziuniu, bo klucznica ma przed południem robić masło, więc gotowa zużyć wszystką śmietanę i nie będzie z czego zrobić kremu.

— Zaraz, zaraz mamó! — odrzekła Dziunia i pobiegła przez ogród. Biegając, zobaczyła rozebraną lalkę, porzuconą twarzą do ziemi.

— Biedna lalusia, zziębnie tu przez ten czas — pomyślała

Dziunia — ubiorę ją prędiutko i pobiegnę do klucznicy. Usiadła więc na trawie, ale lalka, jako osóбка bez życia nie wsuwała rączek w rękawki, więc minęło sporo czasu, zanim ją Dziunia ubrała w sukienkę, pończoszki, trzewiczki. zanim uczesała jej rozburzone włosy. Gdy ubrała swą porcelanową córeczkę, posadziła ją na ławce i nakazała, aby była grzeczną. Potem pobiegła do klucznicy, ale nim jeszcze weszła do mleczarni, już zobaczyła, że dziewczki kręciły korbą masło.

— Mama powiedziała, żeby Janowa przysłała śmietany na krem do leguminy — zawołała prędko.

— Oj, szkoda panienko, że pani nie przysłała troszkę wcześniej, bo przed pięcioma minutami wlałam wszystką śmietanę do maśnicy i już nie mam nic.

— Dziunia zarumieniła się, bo wstyd jej było, że nie usłuchała mamy i żal jej było, że nie będzie na obiad ulubionej leguminy. Wracała więc smutna właśnie w chwili, gdy Lunia niosła ostrożnie śliczne brzoskwinie i truskawki.

— Chodź, chodź! — wołała siostrzyczka — pójdziemy po kwiaty i ozdobimy nimi nakrycia rodziców. Toż to będzie radość! już naprzód mi ślinka biegnie do buzi, na samą myśl o leguminie z kremem.

Dziunia spuściła głowę i poszła za siostrą, ale czekało ją jeszcze jedno zmartwienie. Porzucone bez wody kwiatki, zwiędły pod promieniami słońca — i dziewczynka nie miała z czego zrobić bukietu. Rozpłakała się więc głośno. Mama usłyszała płacz, a myśląc, że może Dziunia upadła lub skaleczyła się, podbiegła do niej, pytając troskliwie: »Co ci to, moje dziecko?«

Ale Dziunia ledwie mogła łkając, wymówić: »buciki... zadanie... krem... kwiaty...« i wybuchnęła nowym, jeszcze głośniejszym płaczem. Minęła dobra chwila zanim mama i ojciec, który właśnie nadszedł, zrozumieli dlaczego Dziunia płacze.

Mama przytuliła do piersi głowę zapłakanej dziewczynki i rzekła:

— Wprawdzie dziś nie będzie kwiatów i kremu, ale pamiętaj odtąd, gdy wymówisz zaraz, zaraz, spełnij natychmiast, co masz zrobić, abyś od dziś za rok stanęła przed rodzicami z wesołą i rozpromienioną minką.

S. I.



KOGUCIK.

Nie sądźcie moi mali czytelnicy, że chcę wam opowiedzieć bajeczkę o tym czujnym ptaku, który chodząc od wczesnego świtu pod waszymi oknami, pieje na różne tony: »Kukuryku! kukuryku!»

Broń Boże! Bohaterem mojego opowiadania, jest sobie mały, ośmioletni chłopaczek, któremu na chrzcie świętym dano imię Czesławka — ale które widocznie mu się sprzykrzyło, bo kiedy go ja poznałem, wołano go powszechnie Kogucikiem.

— Cóż to za dziwne imię! — pomyślałem sobie. — W żadnym kalendarzu go nie ma i dotąd zachodzę w głowę, którego też dnia ów malec obchodził swoje imieniny?

Czesławek... przepraszam, Kogucik chodził zawsze nabundziuczony, z rozczochraną czupryną, która układała się na jego głowie nakształt koguciego grzebienia; wykrzywione u bucików obcasy, były podobne do ostróg; a ręce ciągle niespokojne podrywały go, jakby skrzydłami i z jednej na drugą unosiły go szkodę.

Każdego zaczepił, z każdym się wyklócił, nikomu nie dał

spokoju — a przytem, głos krzykliwy i nieprzyjemny, zupełnie robił go podobnym do nadanego mu przydomka.

Niedawno temu, bawiło się w ogrodzie kilku ruwieśników Czesławka, gdy nagle, jak pocisk wyrzucony niewiedzialną ręką, wpadł pomiędzy nich nasz Kogucik. Jednego z chłopców schwycił za włosy, drugiemu podstawił nogę, z trzecim wszczął sprzeczkę i tyle sam jeden narobił wrzawy, hałasu i zamieszania, ile wszystkie inne dzieci razem narobićby nie zdołały.

Nieraz go pytałem, dlaczego on taki niegrzeczny? Czemu nie bierze przykładu z Józia, Stasia i Henrysia, najbliższych swoich znajomych, którzy służyć mogą za wzór najlepiej wychowanych dzieci.

— E, daj mi pan pokój! ja pójdę się bawić! — odburknął niechętnie.

Nieraz, pragnąc podarkami zjednać sobie chłopczyka, przynosiłem mu to jabłuszko, to pomarańczę, to wreszcie jaką ładną książeczkę z powiastkami Anczyca albo Jachowicza. Myślicie, że mi kiedy podziękował? Gdzietam! Porwał przyniesiony prezent — wykrzywił się jakby zjadł cytrynę i kopnąwszy się z miejsca, pobiegł do ogrodu.

Rodzice w głowę zachodzili, jakimby sposobem poprawić swego syna. Gdy prośby i groźby, a nawet kary nie odnosiły najmniejszego skutku — chwycono się następującego środka:

Ojciec zamówił dużą i obszerną klatkę, w rodzaju kojca, w którym to jak wiecie, chowa się drób wszelki. Kiedy już klatkę przyniesiono, kazał ją ojciec ustawić na podwórzu — i gdy znowu zeszyły się dzieci, a Czesławek jak zwykle, zaczął im dokuczać i przedrzeźniać się, schwycono panicza, wsadzono do kojca i traf — traf... drzwiczki zamknęły się za nim na dwa spusty!

Dopieroż to było śmiechu i drwinek. Czesławek jak istny kogut rzucał się w klatce i wrzeszczał jak opętany — a dzieci koło niego skakały, wołając:

— Kogucik! kogucik! no, zapiej jeszcze kogutku!

Im więcej krzyczał, tem więcej było śmiechu. Aż zmęczony, ochrypli, bez sił prawie, upadł na wiąznię słomy rzuconą na podłogę klatki i pozostał tam tak długo, aż wreszcie same dzieci uittowawszy się nad jego położeniem, wyprosiły dlań u ojca zwolnienia z kary.

Wypuszczony Czesławek przyrzekł solennie poprawę i pro-

sił tylko, aby klatkę na strych wyniesiono, gdyż sam jej widok napełniał go ogromnym wstydem.

Dziś podobno malec znacznie się poprawił. Lecz ile razy posłyszysz pianie prawdziwego koguta, tylekroć wstrząsa nim dreszcz trwogi i niepokoju.

Wł. Belza.



Gdybym był greczny.

Gdybym był greczny — mówi zawsze tato,
Toby mię kochali pewnie wszyscy za to,
Niktby się nie gniewał, nie smucił przezemnie,
Mama swą pociechę widziałyby we mnie,
Babcia by serdecznie zawsze popieściła,
Siostrzyczka by ze mną chętnie się bawiła.

Gdybym był greczny! lecz w tem cała sztuka
Jakoś mi w pamięci nie tkwi ta nauka
I choć postanowię to sobie serdecznie,
Że będę posłuszny zawsze, zawsze, wiecznie,
Przyjdzie zła pokusa, strzeli coś do głowy
I już głupstwo palnę i kłopot gotowy.

Gdybym był greczny, tobym nie próżnował,
Codziennie w nauce naprzód postępował,

Byłbym też posłuszny, nie stękał, nie nudził,
Książeczek, sukienek nie plamił, nie brudził
I myślałbym o tem, by tatko — mamusia
Mogli mieć pociechę ze swego synusia.

Gdybym był greczny, dobrzeby to było
I jakoś pomyśleć aż mi o tem miło,
Zdaje mi się wtedy, żem zaraz weselszy,
Nikt się nie pogniewa, więc jestem i śmielszy,
A słońko i niebo jest wtedy jaśniejsze,
Gdy dzieci na ziemi są codzien grzeczniejsze.

Będę, będę greczny — wszyscy obaczycie,
Babciu, mamu, tatku pewnie się zdziwicie
I powiecie wtedy — Kochana dziecino
Niechże życia twego dni wśród szczęścia płyną,
I będą mię wszyscy bardzo kochać za to,
Tak mi mówi zawsze mój kochany tato.

Jadwiga z Z. S.





Powinszowanie.

176-21

Jam mała córeczka,
Więc krótkie słoweczka
Mej Mamusi powiem:
Niechaj Mamę zdrowiem
I szczęściem obdarza
Ten, co wszystko stwarza.



Kubek Matki Boskiej.

• Ciężki wóz naładowany winem, ugrzązł w błocie i pomimo usiłowań woźnicy, nie mógł ruszyć z miejsca.

Matka Boska nadeszła, a widząc, co się dzieje, powiada:

— Jestem spragniona, daj mi szklankę wina, to pomogę ci w biedzie.

Woźnica odrzekł:

— Nie mam szklanki.

Wtedy Matka Boska zerwała biały kwiatek w różowe prążki, zwany powojem. Woźnica napełnił go winem, Najświętsza Panna wypła i w tej chwili wóz ruszył z miejsca. Od tego czasu kwiatek ów nazywają kubkiem Matki Boskiej.



PTASZEK W KLATCE.

Czemuś smutna o ptaszyno,
Czemuś smutne ptaszę?
W złotej klatce dni tve płyną
Ty kochanie nasze.
W złotej klatce u okienka
Mieszkaś ptaszku sobie,
Śliczna, dobra panienczka
Usługuje tobie.
Śliczna dobra ta panienska
Wciąż nad tobą czuwa,
W dziobek tobie przez usteczka
Cukier słodki wsuwa.
W dziobek tobie cukier słodki
I ziarneczka wkłada,
Czemuś smutna? choć łakotki
W dziobek tobie wkłada?

* * *

Chociaż złotą mam kláteczkę,
Ciężko płyną dni;
Chociaż kocham panienczkę
Smutno, tęskno mi.
Bo w niewoli, jasnej doli
Nie ma nigdy, nie;
Bo w niedoli serce boli
I swobody chce!

Stanisława R.





PTASZEK W KLATCE.

W Ł A D E K.

Stało się raz nieszczęście. Wojtuś, chłopak kredensowy, porządkując w gabinecie tatusia, jak machnął ręką, tak śliczna, porcelanowa lampa spadła na biurko, rozbiła się, nafta popłynęła, a książki, papiery i gazety znalazły się w kąpieli.

Przerażony Wojtuś oprzytomniał pierwszy, schwycił się za głowę i szust za drzwi. Pewnie do kuchni po ścierkę... Władek, panicz, który właśnie słuchał opowiadań Wojtka o kasztanku białonózce, chciał także pobiedz za nim, ale zapóźno było na ucieczkę. Do pokoju wszedł tatuś. Od progu jeszcze, zobaczył wszystko.

— Co się tu stało? Kto to zrobił? Władku, mów mi zaraz.

Jakże tu mówić, kiedy język zeszytniał, niby drewna kawałek. Zresztą tatuś i tak widzi, co się stało, a skarżyć na Wojtka... O, za nic w świecie! Zaczerwieniony, jak winowajca, stał przed tatusiem.

— Więc to twoja sprawka — zawołał ojciec — to już za wiele. Marsz do swego pokoju. Od tej pory nie wolno ci wchodzić tutaj.

Była to ciężka kara.

Minął dzień, drugi, trzeci.

A Wojtek tymczasem wcale nie wiedział, że Władek za niego cierpi. Dziwił się tylko, że pan nawet jednym słowem go nie połajał i w końcu nie mogąc już dłużej tajemnicy utrzymać, opowiedział ją wieczorem ogrodnikowi. Zdarzyło się, że mama właśnie wtedy przechadzała się po ogrodzie i tak niechcący usłyszała całą historię o stłuczonej lampie. Władek jeszcze nie spał, kiedy mama przybiegła do niego.

Jakie tam były uściski, jakie pieszczoty!

— No, mój synku — powiedział tatuś — te pieniądze, które miałem użyć na kupienie nowej lampy, zwrócę ci na konika. W przyszłym tygodniu go kupimy.

Ale Władek nie chciał słyszeć o żadnej nagrodzie.

— Nie, tatusiu, już niech te pieniądze pozostaną na zapas, skoro Wojtek co stłucze.

Prosił tak i prosił dopóty, aż tatuś i mama zgodzili się na to.



Jan

WIECZOREM.

Późno, już późno,
Nadszedł wieczorek,
Klęknijcie dziatki,
Zmówcie paciorek.

Potem gorąco
Módlcie się dziatki!
O zdrowie ojca
I dobrej matki.

I powszedniego
Uproście chleba,
Zdrowia dla ciała,
Dla duszy — nieba.

A naostatek
Przed tym obrazem
Za dusze zmarłych
Westchnijcie razem.

Najświętszą Pannę
Pozdrówcie szczerze,
Niechaj was w świętej
Opiece strzeże.

Modlitwy wasze
Bóg przyjmie w darze
I Swym aniołom
Strzedz was rozkaże.

Według J. Prusinowskiego St. Zal.



PIĘKNA RÓZIA.

Rózia była bardzo ładną dziewczynką i pyszniła się swą urodą. — Mój Boże, jakby to jej zasługą było, że miała ładną buzię. — Mama Rózi była bogatą i kazała jej szyc śliczne sukienki, kupowała ładne kapelusze, a dziewczynka z góry patrzyła na wszystkie dzieci, które nie miały lakierowanych trzewiczków na nóżkach, ani strojnych kapeluszy na głowach. Często przechodząc przez ulicę, słyszała, jak mówiono: „Jakie to ładne dziecko“. — Wtedy Rózia uczuwała wielką przyjemność, podnosiła do góry pysznie główkę, a nie lubiła bardzo tych, którzy nie zwracali uwagi na jej urodę.

— Ucz się Róziu! — mówiła jej często nauczycielka — wierz mi dziecko, że prawdziwą wartość człowieka, stanowią tylko jego dobre uczynki.

Rózia nie wierzyła i pomyślała: „Moją wartość stanowi piękność; chociaż się nie uczę, wszyscy mnie podziwiają, a wcale nie patrzą na dziewczynki brzydkie i źle ubrane, pomimo, że uczą się wybornie“ — to mówiąc, pobiegła do lustra i z rozkoszą przypatrywała się swojej ładnej twarzyczce.

Pewnego dnia Rózia dostała gorączki i zachorowała mocno — a gdy po długiej chorobie wstała po raz pierwszy i zobaczyła się w lustrze, przełękła się bardzo. Nie dowierzała, że w lustrze odbija się jej własna twarzyczka. Krzyknęła przerażliwie i zakryła twarz rękami.

— A więc to ja, ja, naprawdę! — zawołała i zaczęła płakać. Wtem do pokoju weszła matka.

— Mamo, co się stało ze mną? — zawołała — czyż ta szkaradna dziewczynka, to ja naprawdę?

Matce serce ścisnęło się z żalu i nie mogła przemówić.

— Powiedz mamu, co to się stało?

— Przebyłaś ospę, moje biedne dziecko — rzekła matka, tuląc do siebie zapłakaną i oszpeconą twarzyczkę pięknej Rózi.

— I już zawsze będę taką brzydką?

— Z czasem bruzdy się zmniejszą, plamy ustąpią, ale piękną już nie będziesz.

Dziewczynka płakała długo, matka tuliła ją do siebie. Po jakimś czasie Rózia uspokoiła się i rzekła cichutko: „Dobrze mówiła panna Julia, że prawdziwą wartość człowieka stanowią tylko jego dobre uczynki“.





Piękna Różia.

AZOR I ZNAJDA.

Szedł jedną z ulic Lwowa staruszek, przed nim wesoło postępował duży, biały pies ze sporym koszykiem w zębach. To podbiegał w podskokach, to przysiadał; to uszy i ogon opuszczał i wracał z pokorną miną do pana. Widać, że rozumiał, co pan mówił do niego:

— Poczekajno Azorku, nie na to posyłam ciebie codzień samego po mięso, abyś mi się sprzyniewierzał.

Pies popatrzył na staruszkę rozumnie i znowu ogon opuścił, widocznie zawstydzil się.

— Zawsze przynosiłeś tyle, po ile cię posłałem. Od tygodnia z wagi brakuje. Azor, poczekaj, wysłedzę cię dzisiaj.

To mówiąc, wskazał staruszek ręką psu drogę naprzód, sam zaś wrócił i ukryty w bocznej ulicy, czekał, aby się przekonać, którądy Azor pobiegnie z koszykiem i co się dzieje z tem mięsem, że go od pewnego czasu mniej zawsze przynosi.

Nie trwało długo, biegnie obładowany Azor. Od czasu do czasu stawia koszyk na ziemi i kładzie się obok niego. Widocznie koszyk był ciężki. Po chwili znów koszyk bierze i biegnie dalej. Staruszek niepostrzeżenie za nim.

Przed mostkiem stanął Azor, rozglądając się uważnie na wszystkie strony, zbiegł z drogi i zniknął pod mostkiem.

Staruszek podążył za Azorem. Rozgląda się, pod mostkiem Azora nie widać. Patrzy bliżej, w zaroślach siedzi pies jakiś, ale nie Azor. Przybliżyła się staruszek, pies nie ucieka, bo biedny, skaleczoną miał nogę. Przed nim kilka kawałeczków świeżego mięsa.

— Aha, rozumiem cię, pocziwy Azorku. Pójdźże ze mną biedny Znajdo, tak cię będę od dziś nazywać; otoczę cię opieką, bo jej potrzebujesz, a dla Azorka mego będzie to także nagrodą za jego pocziwość.

Po kilku chwilach zakurzyło się za dorożką. Znajda pojechał ze staruszką.

Niezadługo biegały już dwa psy do miasta z koszykiem. Azor się cieszył, że towarzysza z niedoli wydźwignął, Znajda cieszył się, że może starszemu od siebie Azorowi pomagać z wdzięczności dźwigać ciężki koszyk.

Jan Gołębowski.



J E S I E Ń

Pod owocem gną się drzewa,
Jabłoń się rumieni,
Coraz smutniej ptaszek śpiewa,
Jak zwykle w jesieni.
Krótkie dzionki, dłuższe noce,
Wiatr szumi przez pole,
Lecz się rolnik nie kłopoce,
Bo zboże w stodole.
Przyszła jesień gospodarna,
Dała, co potrzeba,
Nasypała w śpichrze ziarna,
Więc nie braknie chleba.

M. Gawalewicz.



Skąpe drzewko.



Słoneczko świeciło jasno, ptaszki śpiewały wesoło, a dzieci wybiegły do sadku, skacząc i śmiejąc się głośno.

Dzieci było troje: Jaś, Staś i Wisia. Chciały się zabawić w sadzie, więc Jaś wyjechał na koniku z szabalką w rękę, Staś poganiał biczykiem, a Wisia biegła za nimi ze swoją ukochaną starą laleczką. Laleczka była kaleką, miała jedną nogę złamaną, ale to kalectwo nie przeszkadzało Wisi kochać laleczkę mocno. Wszak

każda dobra mama pieści najbardziej dziecko słabe lub ułomne, aby mu nagrodzić smutki i cierpienia, a Wisia była bardzo dobrą mamą dla swojej laleczki-kaleczki.

Ale w ogrodzie dzieci zapomniały o zabawie. Konik, biczyk i laleczka-kaleczka leżały sobie spokojnie w trawie, bo w sadzie dzieci znalazły daleko ważniejsze zajęcie — robotę nie na żarty.

W ostatnich dniach owoce dojrzały zupełnie, więc ojciec wyszedł do ogrodu z robotnikami, a ci zdejmowali długimi, ogrodniczymi widłami gruszki, jabłka i śliwki lub też strząsali je z drzewa. Toż to była radość, gdy deszcz owocowy sypał się na ziemię, a jeżeli które dostało w plecy jabłuszkiem lub gruszką, śmiało się głośno. Radość była tem większa, że dzieci pracowały naprawdę, zbierając owoce i nosząc je do koszyków.

Wszystkie drzewa dawały chętnie swe owoce, bo wiedziały dobrze, że ludziom się należy zapłata za to, że je sadzili, szczepili, z owadów oczyszczali, ziemię użyźniali, a w czasie posu-

chy dawali im pić, aby nie uschły z pragnienia. Ale w końcu sadu stała jedna młoda jabłotka, na której szczytce wisały prześliczne różowe jabłuszka, takie różowe i okrągłe jak buziaki Jasia, Stasia i Wisi, drzewko to jeszcze na wiosnę ojciec dzieciom podarował. Więc gdy już zebrano owoce ze wszystkich drzew, dzieci pobiegły na wyścigi do swojej jabłotki; stanęły koło niej, wzięły się za rączki, zatoczyły koło i zawołały:

— Zrzuć, zrzuć nam jabłuszka!

Ale drzewko jabłuszek nie zrzuciło, lecz zaszumiło listkami:

— Nie, nie dam wam moich jabłuszek, zachowam je dla siebie, niech uschną mi na gałązkach, a wam nie dam.

Dzieci nie rozumiały szumu gałązek, czepiły się wszystko troje pnia jabłotki i trzęsły nim, ile sił starczyło, ale drzewkotrzymało wciąż jabłuszka i nie zrzuciło ani jednego.

— Czekaj, kiedyś ty takie niedobre, znajdziemy na ciebie sposób — pomyślały dzieci, a Jaś zawołał:

— Szabelko, szabelko zetnij mi jabłuszko — i rzucił szabelką na drzewko, ale szabelka utraciła tylko kilka listków, a ani jednego jabłuszka.

Potem Staś zawołał:

— Trąbko, trąbko, zatrąb na jabłotkę, niech mi zrzuci choć jedno jabłuszko!

Ale jabłotka udała, że nie rozumie głosu trąbki i nie zrzuciła ani jednego jabłuszka.

— Laleczko, laleczko! — zawołała Wisia — pobiegnij na drzewko i zerwij mi choć jedno jabłuszko — to mówiąc, rzuciła laleczkę na drzewko, ale lalka nie straciła ani jednego owocu.

Zagniewały się dzieci i znowu zaczęły trząść drzewkiem z całych sił; zagniewało się drzewko, a ujrawszy z daleka pasącego się wołu, zawołało:

— Odpędź mi te dzieciśka, a dam ci moich najlepszych listeczków, zobaczysz, jakie smaczne.

Gdy wół to usłyszał, spojrzał na dzieci, spuścił głowę nisko, nastawił rogów i popędził wprost na nie. Jaś, Staś i Wisia krzyknęli głośno i rozpierzchli się na rozmaite strony, ale wół rozpędziwszy się, nie mógł już wstrzymać się w biegu, uderzył więc w jabłotkę tak silnie, że ją przełamał i obalił na ziemię.



Jabłonka upadła i leżała między lalką, szabelką i trąbką, a przerażone dzieci tuliły się do parkanu.

Wół zdumiał się, otworzył wielkie oczy i patrzył przed siebie głupio, tak głupio, jak tylko wół patrzeć umie. Dziwił się, że drzewko, któremu chciał dogodzić, leży martwe, potem przypomniał sobie, że miał dostać w nagrodę listki, więc zaczął je obgryzać obojętnie.

Tymczasem na krzyk dzieci wyszedł z domu ojciec Jasia, Stasia i Wisi, zawołał parobków i kazał wziąć wołu na sznur i zaprowadzić go do stajni. Gdy wół był już uwiązany, dzieci wyskoczyły z za krzaku i zaczęły płakać nad złamanem drzewkiem. Ale gdy ojciec podarował im inną, jeszcze piękniejszą jabłonkę, wtedy zaklaskały w dłonie, oberwały z gałązek leżących na ziemi jabłuszka, których im wprzód drzewko dać nie chciało, zabrały szabelkę, trąbkę i lalkę i pobiegły bawić się dalej. A parobek porąbał drzewko i zaniósł do kuchni polanka, przy których płomieniu upiekły się jego własne jabłuszka.

A gdyby nie było skąpe i dało dzieciom dobrowolnie jabłuszek, stałoby dotąd w sadzie i rosłoby coraz wyższe i piękniejsze.

R. R.



SLUCHAJ GŁOSU ANIOŁA.



Gdy cię bierze chęć do złego,
Z trwogą bije ci serduszek,
Słuchaj zawsze głosu tego,
Co ci „nie rób“ szepce w uszko!
Bo to głos anioła stróża,
On cię strzeże zawsze, wszędzie,
On do twego serca woła:
„Nie czynź złego, bo grzech będzie“!
Gdy usłuchasz tej przestrogi,
Aniołeczek się ucieszy.
Nigdy mieć nie będziesz trwogi,
On z pomocą ci pospieszy,
Lecz, gdy grzech twą duszę splami,
Aniołeczek się zasmuci
I od ciebie, lecz ze łzami,
Swoją świętą twarz odwróci.

Celestyn Szczepański.



Misia i Isia.

Misia i Isia zbudziły się raniutko, ale to tak raniutko, że wszyscy w całym domu jeszcze spali.

— Spisz Isiu? — zapytała ze swego łóżeczka Misia.

— Nie — odrzekła siostrzyczka.

— To pobiegnę do ciebie.

— Chodź — odszepnęła Isia. I po chwilce obie dziewczynki siedziały już na jednym łóżeczku i szeptały cichutko, aby nie zbudzić w drugim pokoju śpiącej mamy.

— Wiesz co, umyjemy się, uczeszymy, ubierzemy, toż to się mama zdziwi, gdy wstanie.

I wnet dwie dziewczynki zeskoczyły z łóżeczek i nuż uwijać się cichutko po pokoju. — Patrzą, aż tu w kąciku na podłodze stoi lustro. Przypomniały sobie, że Kasia oczyściła je wczoraj i miała wystawić na gotowalnię, ale obawiała się podnosić sama, aby nie stłuc i miała je dopiero dziś ustawić we właściwem miejscu przy pomocy drugiej służącej.

— Doskonale — rzekła Misia — lustro, jakby dla nas ustawione na ziemi, abyśmy się mogły w niem dobrze przegłądać. — Pobiegły więc do umywalni, postawiły koło lustra miednicę, położyły mydło, ręcznik i dalejże się myć i czesać. Ale lustro było niżej, aniżeli główki dziewczynek, więc Isia umywszy się, położyła się na ziemi, tak, jak to robią malutkie dzieci, podniosła twarzyczkę, zaczęła się pilnie przyglądać, czy buzia czysta. Misia stanęła za lustrem naprzeciw siostrzyczki, oparła się o ramię, przechyliła się w ten sposób, aby ujrzeć w lustrze twarzyczkę siostrzyczki i w jednej sekundzie, coś zatrzeszczało, podstawa na której lustro się wspierało, usunęła się, dziewczynka upadła, szkło rozprysło się na drobne kawałki, upadając, uderzyło w miednicę, rozbiło ją także, a woda rozlała się po całym pokoju.

Hałas zbudził wszystkich w domu, w jednej chwili nadbiegła mama i służba i ujrzały leżącą na potłuczonym szkłe Mi-



MISIA I ISIA.

się z wyciągniętymi rączkami i Isię, która z przerażenia nie mogła się ruszyć.

— Niestety! — zawołała matka, widząc dzieci w koszulinkach i bosa pomiędzy potłuczonym szkłem. Przybiegła co prędzej, podniosła Misię i zobaczyła, że z rączki sączy się krew. Opatrzono rączkę, ale dziewczynka nie mogła nią władać cały tydzień.

Mądra myszka.

Razu jednego mała myszka dostała się do spiżarni i spostrzegła pułapkę.

— Aha! — powiedziała — tu stoi pułapka, ludzie stawiają klatkę z drucików, a drzwiczki zostawiają otwarte, u pułapu tej klateczki wisi słoninka. Zapach słoninki znęca myszkę, która chcąc zjeść przysmaczek, szarpie go, a tymczasem klap, ścianka podniesiona, upada i biedna myszka już wyjść nie może. Wiem o tem doskonale, moja mamusia opowiadała mi to i przestrzegała, abym unikała pułapki.

— Wiem doskonale, co czeka łakomą myszkę i dlatego nie głupiam! Nie, nie dam się złapać, nie!

Ale — mówiła myszka dalej — co innego zjeść, a co innego powąchać. Od samego wąchania klapka nie zapadnie. A ja lubię bardzo zapach słoninki.

I tak rozumując, wbiegła do pułapki i zdaleka obwąchiwała słoninkę. Zapach ten upajał ją dziwnie, mimowoli więc zbliżała się mała myszka coraz bardziej do niebezpiecznego przysmaku, aż podeszła tak blisko, że dotknęła pyszczkiem słoninki.



W tej samej chwili klapka zapadła i mała mądra myszka, która znała tak dobrze niebezpieczeństwo pułapki, już nie wydobyła się nigdy z więzienia.

Z bajek braci Grimmów.



NOWE ZABAWECZKI.



osiowi dobiegał już siódmy roczek. Jakoś go jednak ciągle jeszcze nęciły zabaweczki czteroletniego Stasia. Ciągle bawił się, biegał, koziołki przewracał. Starszego brata, Ludwika, który właśnie ze szkół do domu na wakacje przyjechał, nie przestawał nudzić, prosząc to o szabelkę, to o wózek, to o okręcik. Ciągłym marzeniem Tosia były zabaweczki. — Raz wbiega Tosio w podskokach na ganek. Właśnie mama wychodzi i mówi:

— Tosiu, chodźno, stryjcio przywiózł ci nowe zabaweczki.

— Nowe zabaweczki, nowe zabaweczki! — woła uradowany Tosio, całując obie ręce mamy. — Mamciu, a gdzie są te zabaweczki?

— W drugim pokoju, owinięte w papierze. Sam rozwiń, oglądnij dobrze i przyjdź tu na ganek powiedzieć, jak się tobie podobały.

Tosio nie miał już czasu uważać na resztę słów mamy, bo w jednej chwili był w drugim pokoiku i papier szeleścił w rękach ciekawego chłopaka.

Mama chciała wiedzieć, jakie wrażenie zrobią nowe zabaweczki na nim, więc czekała w ganku.

Po chwili wybiega Tosio na ganek rozpromieniony, a co

za prześliczną miał na sobie zbroję. Przez ramiona na pięknym, żółtym rzemyku, przewieszona błyszcząca, lakierowana torni-stra ze sarenką, kwiatkami i strumykiem. W prawej ręce tabliczka nowiuteńka, z czerwonymi linijkami, rysikiem i gąbeczką: w lewej elementarz, w prześlicznej brązowej okładce. Rzeczy te znalazł w tornistrze.

— Mamciu, czy to wszystko moje?

— Twoje, Tosiu, twoje. Są to nowe zabaweczki, które przystoją dla chłopczyka w twoim wieku. Zapoznasz się z nimi bliżej, gdy się skończą wakacje. Wtedy się przekonasz, jak są przyjemne.

Tosio nie miał cierpliwości czekać tak długo. Jeszcze tego wieczora nauczył się przy pomocy Ludwisia pisać kreski i kółka na tabliczce. Do elementarza wstawał już teraz raniutko. Za dwa dni poznał się z wszystkimi obrazkami w elementarzu, a do tygodnia poznawał już prawie wszystkie litery. Raz mu się nawet w nocy przyśniło, że cały wierszyk sam umiał przeczytać.

Teraz Tosio zapragnął najprędzej zostać uczniem pierwszej klasy. Niezadługo też ozwał się pierwszy raz dzwonek, zwołujący dzieci do szkoły, a ucieszony Tosio wychodził pierwszy raz z mamą za furtkę, ustrojony w tornistrę. Z jaką dumą oglądał się na podwórze, gdzie widział konika, co biega w kołysce, blaszanego żołnierza, co głowy obrócić nie umie, lokomotywę, którą za nos trzeba wodzić po podłodze.

Mały Stasio począł się także zwolna dopytywać mamci, kiedy przyjedzie stryjcio — i czy przywiezie nowe zabaweczki?

Jan Golebiowski.





W JESIENI.

Ach, mamusiu! cobym miała
To dałabym za to,
Aby jesień brzydka znikła,
A wróciło lato,
Bo też popatrz, moja mamo,
Jak tu jest szkaradnie,
Co wiatr wionie, tysiąc listków
Na ziemię upadnie.
Wszystkie kwiatki powędniały,
Ptaszki od nas odleciały,
Słońce w chmurach się zakryło,
Zimno, błotno i niemilo.
Więc mamusiu, cobym miała,
Tobym chętnie zaraz dała,
Aby jesień znikła za to,
A wróciło lube lato.

A mamusia rzeknie z cicha:
Próżne twe marzenia...
Bo co Pan Bóg raz zarządził,
Tego nie odmienia,
Wszystko w świecie idzie trybem
Od wieków wskazanym...
Wszystko spełnia swą powinność
Czynem niezachwianym.
I choć jesień smutna, blada
Dzisiaj cię przestrasza,

Da Bóg, przyjdzie znów koleją
Luba wiosna nasza.
Ale pomnij moje dziecię,
Kiedys czas nadpłynie,
Gdy na wieki wiosna życia
Dla ciebie zaginie.
Wtedy przyjdzie smutna jesień
I przerazi tego,
Kto w próżniactwie przemarnował
Wiosnę życia swego,
A kto dzieckiem się nauczył
Życ zacząć, pracować,
Ten w jesieni za młodością
Nie będzie żałować.
Nie pomogą wszelkie dary,
Ofiary, błaganie...
Wiosna życia, gdy raz minie,
Już więcej nie wstanie,
Ale teraz moje dziecię
Nie płacz, nie narzekaj,
Na wiosenkę cichą — jasną
Cierpliwie poczekaj;
Wróci ona — wróci nie raz...
Lecz pomnij dziecino:
Dni młodości nie powrócą,
Kiedy raz odpłyną.

Jadwiga Strokowa.



ZEGAREK.

— Helciu. zobacz, która godzina, bo nie mam przy sobie zegarka. — Tak zawołał chłopczyk ubrany w mundur gimnazjalny do młodszej siostrzyczki.

— Kiedy ja się nie znam na zegarze, Jasiu — odpowiedziała Helcia.

— Fe! — zawołał Jaś — taka duża panna i nawet nie umie poznać, która godzina; to wstyd dopiero! Czy ciebie nikt tego nie uczył?

— Mama mnie uczyła — odparła Helcia — ale to takie nudne.

— Chodź do mnie — zawołał Jaś — zobaczysz, że cię tego nauczę.

I z temi słowy przyniósł z drugiego pokoju swój kieszonkowy zegarek i siadłszy obok siostrzyczki, zaczął mówić:

— Posłuchajno! Słyszysz, jak tam się wszystko we środku rusza, jaki tam hałas? A wiesz z czego to?

Helcia zrobiła przeczący ruch głową.

— Więc ja ci powiem, ale to straszna tajemnica. Przrzekasz, że jej nikomu nie wyjawisz?

— Przrzekam — odpowiedziała cichutko Helcia.

— To król karzełków Bożydar mieszka w tym zegarku. Nie jest on większy od główki szpilki, tylko ma ogromne ręce. Przypatrz się! To białe koło, które tutaj widzisz, z napisanymi liczbami, to dach pałacu króla Bożydara. On siedzi w samym środku, tylko jego długie ręce nie mogą się zmieścić i dlatego

trzyma je na wierzchu. Ludzie nazywają te ręce wskazówkami. Cały pałac jest metalowy. O, bo król Bożydar nie lubi wygódek! U niego nie znajdziesz materaców, ani poduszek; wszystko jest z twardego metalu, a nawet on sam i wszystkie karzełki są ubrani w metal. Dlatego też nigdy nie leniuchują. Pracują od rana do wieczora, nawet całą noc. Słyszysz ten hałas? To karzełki kują żelazo na kowadle. Ogromnym młotem uderzają prędko i równo; tik tak, tik tak! A nie potrzeba ich nigdy napędzać do roboty. Posłuchaj, czy kiedy król Bożydar choć krzyknie na którego karzełka. Nie. On tylko poważnie pokazuje swojemi długimi rękami, że czas mija. A pokazuje to nie tylko karzełkom, ale i nam ludziom. I nam także przypomina, że próżnować nie można, tylko trzeba ciągle pracować. A wiesz ty, jak on pokazuje temi rękami, że czas mija? Widzisz, te ręce, czyli wskazówki, nie są równe, jedna dłuższa, druga krótsza. — Biedny król Bożydar; on to już ma od urodzenia! Otóż ta dłuższa wskazówka porusza się prędzej i pokazuje minuty. Zaczniemy stąd, z samej góry, gdzie jest napisane 12. Jeżeli wielka wskazówka poruszy się od tej cyfry do następnej, to upłynęło 5 minut, dalej 10 minut, potem 15, czyli kwadrans. Zapamiętaj sobie dobrze to miejsce, bo ile razy tu przyjdzie duża wskazówka, to mówimy, że jest kwadrans. Jeżeli wskazówka poruszy się dalej do następnej cyfry, to upłynęło 5 minut po kwadransie, jeżeli jeszcze dalej, to 10 minut po kwadransie, a potem 15 minut, czyli pół godziny.

Ile razy zatem tu przyjdzie wskazówka, to się mówi, że jest pół. Jeżeli wskazówka jeszcze dalej się poruszy, to upłynęło 5 minut po pół, potem 10, wreszcie 15, czyli trzy kwadransy.

Widzisz, że trzy kwadransy leżą tuż naprzeciw kwadransu, łatwo zatem je sobie zapamiętać.

Przy następnej cyfrze upłynęło 5 minut po trzech kwadransach, potem 10, wreszcie 15, czyli cała godzina. Jeżeli zatem duża wskazówka raz się naokoło obróci, to upływa godzina. Tak to pokazuje król Bożydar minuty, ale w ten sposób nie wiedzielibyśmy, która to godzina.

Ale król Bożydar nie głupi. Ho, ho! on ma rozum taki, jak niejeden człowiek. Otóż na to, żeby pokazać godziny, wystawił przez dach swoją drugą rękę, tę mniejszą wskazówkę. Ta, ponieważ jest krótka, porusza się znacznie powolniej i pokazuje tylko godziny.

Więc, jeżeli mała wskazówka pokazuje na cyfrę 1, to mówimy, że jest godzina pierwsza. Jeżeli poruszy się nieco dalej

i znajduje się między cyfrą 1 a 2, mówimy, że jest na drugą; jeżeli wskazuje cyfrę 2, to mówimy, że jest godzina druga itd.

— Rozumiesz więc teraz? Naprzód patrzę na dużą wskazówkę, ile pokazuje minut, a potem na małą, która godzina. Jeżeli n. p. wielka pokazuje kwadrans, a mała jest między pierwszą a drugą, to mówimy, że jest kwadrans na drugą.

— A teraz może chcesz zobaczyć we środku pałac króla Bożydara i pracujących karzełków?

Małej Helci aż oczki błysnęły z radości, a Jaś nacisnął z drugiej strony zegarek. — Pszytyk! Wieko się otworzyło, a Helcia zobaczyła ten młot, który ciągle kuje, tylko króla Bożydara i karzełków nie mogła ujrzeć.

Zaglądała z góry, z dołu i z boku, lecz nigdzie ich widać nie było. Ale to pewnie dlatego, że karzełki są bardzo małe, albo może schowały się ze strachu przed Helcią?

Nie wiedzieć tylko to dlaczego Jaś zaczął się tak śmiać, kiedy Helcia zaglądała ciekawie do środka, szukając króla i karzełków.

K. I.

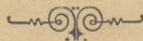




S T A S I A.

Kiedy Stasia była mała,
Awantura raz się stała,
Goście do nas przyszli z rana,
Ona jeszcze nie ubrana;
Poszli tedy i mówili,
Że tam guzdre zobaczyli.

Ale teraz już raniutko,
Z łóżka zrywa się prędziutko,
Sama czesze się, ubiera,
Sama rzeczy swoje zbiera,
Niech kto przyjdzie, jak chce rano,
Zawsze znajdzie ją ubraną.



ODLOT.

Bim, bam! Bim, bam! — wydzwaniał stary zegar na katedralnej wieży.

— Bim, bam! — posłuszne rozkazowi jaskółki, poczęły się zbierać na kopule starej świątyni.

— Bim — bam! — wołał ciągle zegar i coraz to więcej jaskółek zataczało szerokie koła w powietrzu, by usiąść na kopule.

— Cóż to za wiec jaskółczy? — pytał szczygieł starego wróbla, który siedząc na gałęzi cienistego kasztana, przypatrywał się zlotowi.

— Jakto nie wiesz? wszak zima się zbliża, jaskółki żegnają nas, by odlecieć daleko, daleko, do Afryki. Tam nie ma śniegów i mrozów, tam panuje wieczne lato!

— Mróz je wygania! Taką więc jest ich miłość do rodzinnego kraju i do gniazd rodzinnych! — zawołał z oburzeniem szczygieł i spojrzał pogardliwie na wzrastające stado jaskółek.

— O, nie oczerniaj ich tak niesłusznie! Jaskółki nie mogłyby, mimo najszczerzych chęci, pozostać z nami przez zimę. Czyż nie widzisz, jakie to wątle ptaszki?

Szczygieł przypatrzył się bliżej jaskółkom.

Miały one grzbiet czarny o granatowym połysku, także długie i kończyste skrzydełka i ogonek widełkowato wycięty, a służący jaskółkom do sterowania w powietrzu. Spód ich ciała i łapki były białe, a dziób gruby i krótki. Dzióbem tym chwytają jaskółki w locie rozmaite owady, któremi się żywią.

— Na wiosnę — ciągnął wróbel dalej — powracają one. Starsze wracają do swoich dawnych gniazd, młodsze ulepiają



sobie nowe z błota i wilgotnej ziemi, pod oknami, lub gzymsami domów.

W gniazdka te składają po kilka białawych jajek, z których po kilkunastu dniach wylęgają się młode ptaszki.

— Ach, popatrz! tam poleciał jeden wróbelek do gniazdka opuszczonego przez jaskółkę. Cóż on tam robi? — Pytał zaciekawiony szczygieł.

— Zajmuje je na swoje mieszkanie.

— Jakto, czy jaskółka mu pozwoliła osiedlić się w jej domu?

— Nie pytał się jej wcale. Podczas gdy jaskółki bawią w Afryce, my mieszkamy w ich gniazdkach. Są one tak zbudowane, że ich wejście znajduje się tuż pod dachem domów, lub gzymsem u okien, a więc w takim mieszkaniu wiatr nie bardzo dokuczyć może.

— A cóż się dzieje na wiosnę, gdy jaskółki wracają?

— Wtenczas toczymy z nimi zaciętą walkę, gdyż oczywista, wygodnych gniazdek oddać nie chcemy. Najczęściej, niestety, jaskółki zwyciężają i wypędzają nas z ciepłego domku. Razu pewnego, gdy jaskółka wróbla z gniazda wypędzić nie mogła, postanowiła zemścić się na nim w okrutny sposób: zwołała swoje towarzyszki i wspólnie z nimi zamurowała otwór do gniazdka, a z nim i mego nieszczęsnego brata.

Wróbel skończył opowiadanie. Wszystkie jaskółki z całej okolicy zgromadziły się do odlotu, tymczasem na kopule starego kościoła: zegar wydzwonił raz jeszcze »bim, bam«!

Jaskółki usłuchały hasła i rozwinęły skrzydła, by polecieć daleko, daleko... do Afryki.

El. Lazarusówna.



ISKIERKA.

Mały Janek lubił się bawić iskierką, a chociaż matula mówiła mu nieraz, aby iskierki nie ruszał, bo może być nieszczęście, on nie słuchał, bo podobała mu się błyszcząca, świecąca, niebezpieczna zabawka. Aż razu jednego iskierka upadła w słomę i skryła się w niej. Słoma zaczęła się tlić i wybuchł pożar. Przeraził się Janek i uciekł od płonącej słomy, nie powiedziawszy nikomu, co się stało; nikt nie zalał ognia wodą, więc ogień rósł i rósł, zajęły się firanki, co wisały u okien i łóżeczko na którym Janek sypiał w nocy zapaliło się jasnym płomieniem, a potem zajęły się stoły, stołki, szafy i wszystko, co tylko mieli rodzice Janka — a pożar urósł tak wysoko, jak kościelna wieża.

Ludzie zaczęli krzyżeć z przerażenia, dzwony uderzyły na gwałt i aż strach było patrzeć na pożar i słuchać jęku ludzi i dźwięku dzwonów. Teraz dopiero zaczęto pożar zalewać wodą, ale już było za późno, cały dom spłonął i zostały z niego tylko węgle i popioły.

Teraz rodzice Janka nie mieli domu, nie mieli gdzie się schronić przed słońcem i zimnem, nie mieli za co kupić nowych sprzętów. — Biedni rodzice — a wszystkiemu był winien Janek, co nie słuchał mamy i bawił się iskierką.



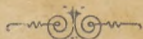
Rozmowa o zimie.



— Dlaczego mam, powiedz mi, proszę,
Ludzie się zimy lękają,
Przecież i zima daje rozkosze
I uciech niesie nie mało.
Sanna, ślizgawka tak pożądana,
Wesoła gwiazdka, zapusty —
Gdy w każdym domu smażą od rana
To świeże pączki, to chrusty.

— Tobie się zima miłą wydaje,
Lecz pomyśl tylko o dziecię,
Biedakom chleba nieraz nie staje,
Trudniej zarobić niż w lecie.
Do nędznej chaty wicher przewiewa,
Ciepłej odzieży tam nie ma,
Biedak ze smutkiem na świat spoziera,
Skoro nadchodzi już zima...

Chłopczyk westchnienia wstrzymać nie może
Łzami mu zaszyły oczęta,
Lecz odtąd zawsze w zimowej porze
Najprzód o biednych pamięta.





To nie ja! — To nie ja!

— Kto to tak dokuczył małej Heli, że aż się rozplakała?
— zapytała niania.

— To nie ja! — zawołał Jaś.

— To nie ja! — dodała Stasia.

— Ale ty trąciłaś ją, aż biedaczka upadła.

— To nie ja! — odrzekła znowu Stasia — to Jaś chciał mnie złapać, więc musiałam uciekać, a że Halusia właśnie podbiegła, to nie moja wina.

— Kto to porozlewał wodę po podłodze?

— To nie ja! — woła Jaś. — To nie ja! — dodaje Stasia.

— Ja tylko chciałam pozamiatać pokój, bo słyszałam, jak Hania mówiła, że nie ma czasu i umoczyłam szczotkę w cebrzyku, aby się kurz nie unosił.

— Kto popsuł kapelusz tatka?

— To nie ja! — woła Stasia.

— To nie ja! — dodaje Jaś. — Ja chciałem tylko spróbować, jakby to było, gdybym chodził w cylindrze.

— Kto potłukł figurki stojące na pułeczce?

— To nie ja! — woła braciszek.

— To nie ja! — dodaje siostrzyczka.

— Ja tylko chciałam się zabawić a obręcz wpadł między figurki i potłukł je.

— Kto powyrzucił na podłogę wszystkie zabawki? — pyta mama.

— To nie ja! — odpowiada Stasia.

— To nie ja! — dodaje Jaś.

— Ja tylko wzięłam żołnierze i klocki do budowania.

— A ja szukałam kapelusza lalki, a że leżał w pudle pod wszystkimi zabawkami, więc musiałam je wyrzucić na ziemię.



I tak bywało zawsze. Gdy zapytano, kto wydusił dziurę w krzeselku? Kto poobdzierał tapety ze ścian? Kto stłukł flaszeczkę z perfumami? Zawsze słyszano dwa głosiki:

— To nie ja! — To nie ja!

Mała Helusia, która jak papuzia powtarzała wszystko, co usłyszała, nauczyła się od braciszka i siostrzyczki ich ulubionego »To nie ja!« i powtarzała te wyrazy ciągle, nie zważając kiedy je powiedzieć. I tak raz wdrapała się na okno, przełękała się i zaczęła płakać, wołając:

— Helusia upadnie!

Niania nadbiegła, zdjęła dziecko z okna i upominała je:

— A kto to widział wyłazić na okno?

A mała Helusia odpowiedziała prędko: »To nie ja!«

Starsze dzieci słysząc to, zaczęły się śmiać, chociaż same powtarzały także te słowa bez zastanowienia.

Często suwały krzesła po ziemi, robiąc z nich powozy, krajały papierki, rozrzucały zabawki, a potem dziwiły się, że podłoga była porysowana, że w pokoju było pełno śmiecia i powtarzały ustawicznie: »To nie ja! — To nie ja!«

A więc to nikt? To zapewne same małe nóżki wyskakują na kanapy i krzesła, same małe rączki tną papierki, same małe pięty bruczą podłogę.

O! trzy pary małych nóżek i trzy pary małych rączek umieją wyrządzić dużo, bardzo dużo szkody.



Ach, jak nie mam czasu!



Ah! jak nie mam czasu,
Trudno wypowiedzieć,
Najpierw z rana — długo
Przy nauce siedzieć,
Potem, gdy pobiegam
Odpocznę chwileczkę,
Muszę znowu stroić
Mą śliczną laleczkę,
Trzeba ją przeczesać,
W inne suknie przebrać,
A tu znów wołają:
Idź już gamy przegrać.
Skończona muzyka,
Teraz jest pisanie,
A potem z mameczką
Znów głośne czytanie.
Przejdzie dzionek prędko,
Lampa już się świeci
I wszyscy przy stole:
Mama, niania, dzieci.

Już to nie próżnuję,
W wieczory zimowe,
Mam zawsze robótki
Piękne bardzo, nowe,
Gdy skończę dla lalki
Szlafroczek na wacie,
Zrobię wnet skarpetki,
Na gwiazdkę dam tacie;
Potem dla babuni
Zrobię pantofelki,
A niani fartuszek
Gospodarski — wielki.
Oj, dużo roboty —
Gwiazdka niedaleka,
A chwila, za chwilką,
Jak ptaszek ucieka.
Nie mam czasu, nie mam,
Mam dużo roboty —
Ale mi do szycia
Nie braknie ochoty.

Jadwiga z Z S.

PSOTNIK NIELADA.

Pсотnik nie lada
Ten Luduś maleńki,
Psuje zabawki,
Plami sukienki,
Dokucza siostrze,
Mamy nie słuca,
A cioci szepce
Ciagle do uca:
Proszę dać konfitur,
Cukru kawał wielki...
Oj płata, on płata
Przeróżne figielki,
A święty Mikołaj
Wszystko to notuje,
Do czarnej książeczki
Coś tam zapisuje...
Może on za karę
Rózczkę przyniesie,
Z tej brzozy bialusiej
Co wyrosła w lesie?
Oj, psotniku mały
Cóż to będzie z tego?
Gdy się nie poprawisz
Będzie wiele złego...
Porzuć te swawole,
Figielki i psoty...
A przyniesie drzewko
Aniołek twój złoty,
I święty Mikołaj
W kąć rzuci rózczkę
A tobie przyniesie
Prześliczną książeczkę.

Jadwiga z Z. S.





O SZCZYGIEŁKU.

— Ach! jak dzisiaj zimno — zawołała Frania, wróciwszy ze szkoły do domu. Przytuliła do pieca zziębnięte paluszki i ogrzewała je jak mogła. I jej

braciszek Julek wpadł do pokoju z mocno zaczerwienionym nosem, bił w rączki i tupał nogami, aby rozgrzać zziębnięte członki.

— Ależ to śnieg skrzypi pod nogami!
— zawołał.

— A kryształki śniegu tną w twarz i parzą jak iskierki — dodała siostra.

Tak rozmawiając, dzieci usłyszały jakiś szmer koło okna. Puk, puk, puk — zastukał ktoś bardzo leciuchno. — Dzieci pobiegły do okienka i ujrzały ślicznego ptaszka ubranego w barwne piórka.

Ptaszyna przyczepiła się pazurkami do gżemsu okna, dzióbkiem stukwała w szybę, a drżała z zimna, a patrzyła na dzieci takim błagalnym wzrokiem.

— Boże, Boże! jak też to biedne ptaszę zziębło, trzeba je wpuścić prędiutko do środka — zawołała Frania, otworzyła okno, a ptaszek wleciał do ciepłego, zacisznego pokoju, świergocąc wesoło i śmiało roztaczając skrzydelka. Przeleciał kilka razy tam i napowrót dla rozgrzania się, a potem usiadł na poręczu krzesła, jakby się chciał przedstawić dzieciom i im się przypatrzeć.

— On głodny — zawołała Franusia, pobiegła do spiżarni i przyniosła kromkę chleba, pokruszyła ją i dała ptaszkowi. Ptaszek rzucił się chciwie na chleb, zjadł wszystko do ostatniej pruszynki, a potem dzióbkiem zaczął układać swe śliczne, barwne piórka.

Dzieci objęły się w pół i patrzyły rozradowane na wesołe ptaszę, a Julek zapytał: »Co też to za ptaszek?»

— Szczygiełek — odpowiedziała Franusia — poznać go można po sukience, patrz! ma koło dzióbka czerwone plamki i śliczne żółte piórka na skrzydełkach. Musi też ślicznie śpiewać, damy mu klatkę i powiesimy na okienku.

Jak powiedzieli, tak zrobili. Wyszukali klateczki, co stała w spizarce, wstawili w nią naczynka, jedno na wodę, drugie na ziarna, wpuścili do klatki ptaszka, ale drzwiczki zostawili otwarte, aby mógł sobie wylecieć, gdy zechce pobujać swobodnie.

Ptaszkowi dobrze było w klatce i wkrótce tak się oswoił, że gdy dzieci zawołały: »ptasiu, ptasiu!» to on wylatywał, siadał im na rękę i wydziobywał z ust kawałeczki chleba i cukru. Dzieci cieszyły się nim i miłszy im był, niż najpiękniejsze zabawki. A gdy nastąpiła miła wiosenka, gdy drzewa i krzewy się zazieleniły, rzekła matka do dzieci:

— Teraz szczygiełkowi z pewnością milej będzie w polu, aniżeli u was w klatce. Wypuście go, niech leci, tu mógłby zginąć z tęsknoty.

Julek i Frania przystąpili do klatki ze smutoją miną, bo żał im było utracić ptaszka, ale że lubili go bardzo, niechcieli go zamęczyć, więc otworzyli okno i drzwiczki klatki i zawołali:

— Ptasiu, ptasiu! — Ptaszek wyleciał, usiadł na paluszku Franusi, a dzieci wybiegły z nim do ogrodu.

Szczygiełek zdziwił się, zaśpiewał wesoło, potem rozwinął skrzydełka i uleciał w powietrze.

— Bywaj zdrów ptaszku! Ciesz się, baw wesoło — zawołały dzieci, a w oczach zakręciły się im łezki. Nazajutrz wrócił ptaszek, zaglądnął do klatki, usiadł znowu na rączce Julka i Frani i tak przylatywał dni kilka. W końcu znikł i niepokazywał się długo, długo, aż raz, gdy już lato się kończyło, zapukał do okna i przyprowadził ze sobą całą gromadkę podobnych do siebie ptaszków, była to jego żona i dzieci. Chciał je widać przedstawić swoim małym przyjaciółom i dobroczyńcom. O, bo i ptaszki umieją być wdzięczne. A ludzie?



Pięć palców.

Było sobie pięć palców u jednej rączki — zawsze tak bywa. Otóż na jeden z tych paluszków, na ten, który sąsiaduje z najmniejszym, założyła druga rączka śliczny, złoty pierścionek, ozdobiony kosztownym klejnotem i perełkami. Cztery inne paluszki nazwały żartem palec ozdobiony pierścionkiem: złotym paluszkciem i już mu ta nazwa została. Złoty paluszek pyszny z ozdoby, niechciał pomagać swoim kolegom w robocie i mawiał zawsze: »Wy nie możecie się równać ze mną», a myśląc tak, wyprężał się dumnie. Gdy to zobaczyły inne paluszki, rozgniewały się bardzo, a chcąc ukarać zarozumialca, postanowiły w niczem mu nie dopomagać. Gdy złoty paluszek chciał raz urwać kwiatusek, wielki palec zawołał: »Nie pomogę ci, bo jesteś zarozumiały, radź sobie sam». I kwiatek został na krzaku. Raz znowu złoty paluszek chciał ułamać gałązkę obwieszoną czereśniami, ale wszystkie inne cztery palce sprzeciwiły się temu i złoty paluszek musiał ustąpić. Innym razem chciał złoty paluszek robić siatkę, ale znowu inne palce nie chciały mu dopomódz, więc złoty paluszek musiał rad nie rad próżnować.

Wówczas złoty paluszek rozplakał się głośno i przeprosił kolegów; czterym innym paluszkom żal się zrobiło biednego towarzysza, przebaczyli mu i odtąd już między wszystkimi palcami zapanowała zgoda.



DO ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA.

Święty Mikołaju!... proszę cię pokornie,
Gdy będziesz się zbierać, nie zapomnij o mnie.
Dla naszej mamusi przynieś zdrowia wiele,
Bo oto ja proszę codziennie w kościele;
Dla tatka pieniędzy, bo się wciąż turbuje,
Że teraz tak drogo wszystko go kosztuje;
Dla Zosi siostrzyczki, przynieś kolebeczkę,
By miała kołysać w czem swoją łaleczkę,
Stasiowi daj książkę dużą z obrazkami,
Młociowi, pudełko śliczne z żołnierzami,
Dla niani potrzeba ^{chusteczki} zimowej,
A Basia znów nie ma ^{chusteczki} sukieneczki nowej,
Jest tu także jedna wdowa z sierotami,
Często ona, często zalewa się łzami,
Biedne te jej dzieci, trzewików nie mają,
Do szkoły po śniegu to boso biegają,
Starszy nie ma książki, młodszy zaś tabliczki,
Podarte też bardzo mają kaftaniczki.
Święty Mikołaju — prośby mej wysłuchaj
I do tych sierotek najpierwej zapukaj,
Zostaw-że im dużo tych podarków z nieba,
Bo nieraz tam braknie nawet, nawet chleba,
A choćby ci dla mnie już brakło w koszyku,
Nie będę się smucić, mam rzeczy bez liku,
Zabawek, książeczek mam też dostatecznie,
Więc obejść się mogę bez nowych bezpiecznie.
Nie gniewaj się proszę, żem zanadto śmiała,
Co komu potrzeba wszystkim wygadała,
A jeśli wystarczy — to lalkę z włosami
Przynieś mi ogromną, z czarnymi oczami,
A za to ja będę codziennie pilniejsza
I sto razy więcej jak dotąd grzeczniejsza!

Jadwiga z Z. S.



D U D E K.

W pewnym borze,
W letniej porze,
Nie wiedzieć z jakiej przy-
[czy
Stroił dudek dziwne miny

To podnosił w górę dzióbek,
To rozwijał barwny czubek,
To się puszył, to nadymał
I zdala od ptactwa trzymał.

— Hej, pyszałku — krakła wrona,
Z bliskiej jodły wypłoszona,
— Z czegoś taki dumny, śmiały,
Żeś się aż napuszył cały?
— Z mego pierza — odrzekł dudek.
Pierze ptaszka, to sukienki
W jakich chłopcy lub panienki
Chodzą codziennie.

— Wierz mi dudku

Piękność piórek potrwa krótko,
Lepiej śpiewać, gniazdko lepić,
Niż strojami się tak chełpić.



O jasnym miesiączku, co zaglądał do dzieci.

W mroźny dzień grudniowy, księżyc zeszedł bardzo wczesnie na ziemię, bo Dzieciątko Jezus kazało mu zaglądać do wszystkich dzieci, aby się przekonał, które też zasłużyły na drzewko.

Płynął więc jasny miesiączek po ciemnem niebie, a promyki posyłał na ziemię, promyki te wciskały się przez szybki i szparki okiennic do pokoiów, gdzie były dzieci.

Zagląda do jednego pokoiku, a tam braciszek z siostrzyczką czubią się o zabawkę, żadne nie chce ustąpić drugiemu. Zasmucił się jasny miesiączek na taki widok, cofnął promyki i schował się za chmurkę, aby nie patrzeć na niegrzeczne dzieci. Ale Dzieciątko Jezus kazało mu iść dalej i zaglądać do innych dzieci. Więc wypłynął znowu z za chmurki, znowu wysłał promyki na ziemię, a promyki wpłynęły do izdebki, gdzie starsza dziewczynka czytała choremu braciszкови bajki i przynosiła mu wszystkie swoje zabawki, księżyc uśmiechnął się ładnie i popłynął dalej. I widział jeszcze dużo, dużo grzecznych dzieci i dużo niegrzecznych.

O świtaniu wrócił do nieba i opowiada o wszystkim co widział malutkiemu Jezuskowi, a jak opowie o grzeczne dziecko, to malutki Jezusek śmieje się i klaszcze w dłonie, a Matka Boska zdejmuje z wielkiego, niebieskiego drzewka śliczne zabawki i pierniczki i daje je aniołkowi, aby w noc Bożego Narodzenia zaniósł tym dzieciom na ziemię, a jak opowie o złem dziecku, to Jezusek maleńki zasmuci się, Mateńce Bożej łezki z oczu spływają, a aniołek dziecka odchodzi z próżnymi rękami.

Pamiętajcie, aby o was jasny miesiączek nie powiedział nic złego Bożej Dziecinie.

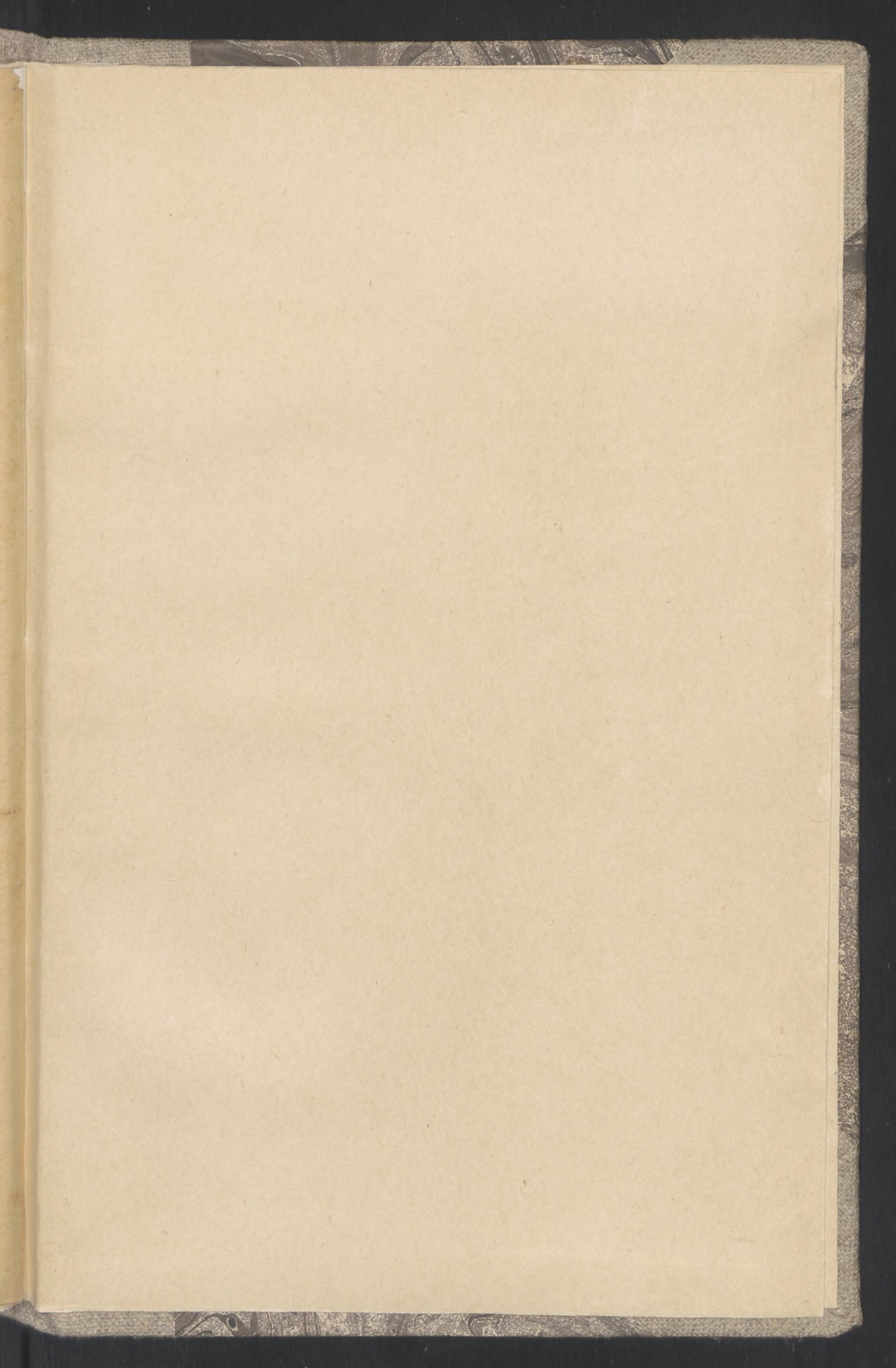
A, Lewicka.

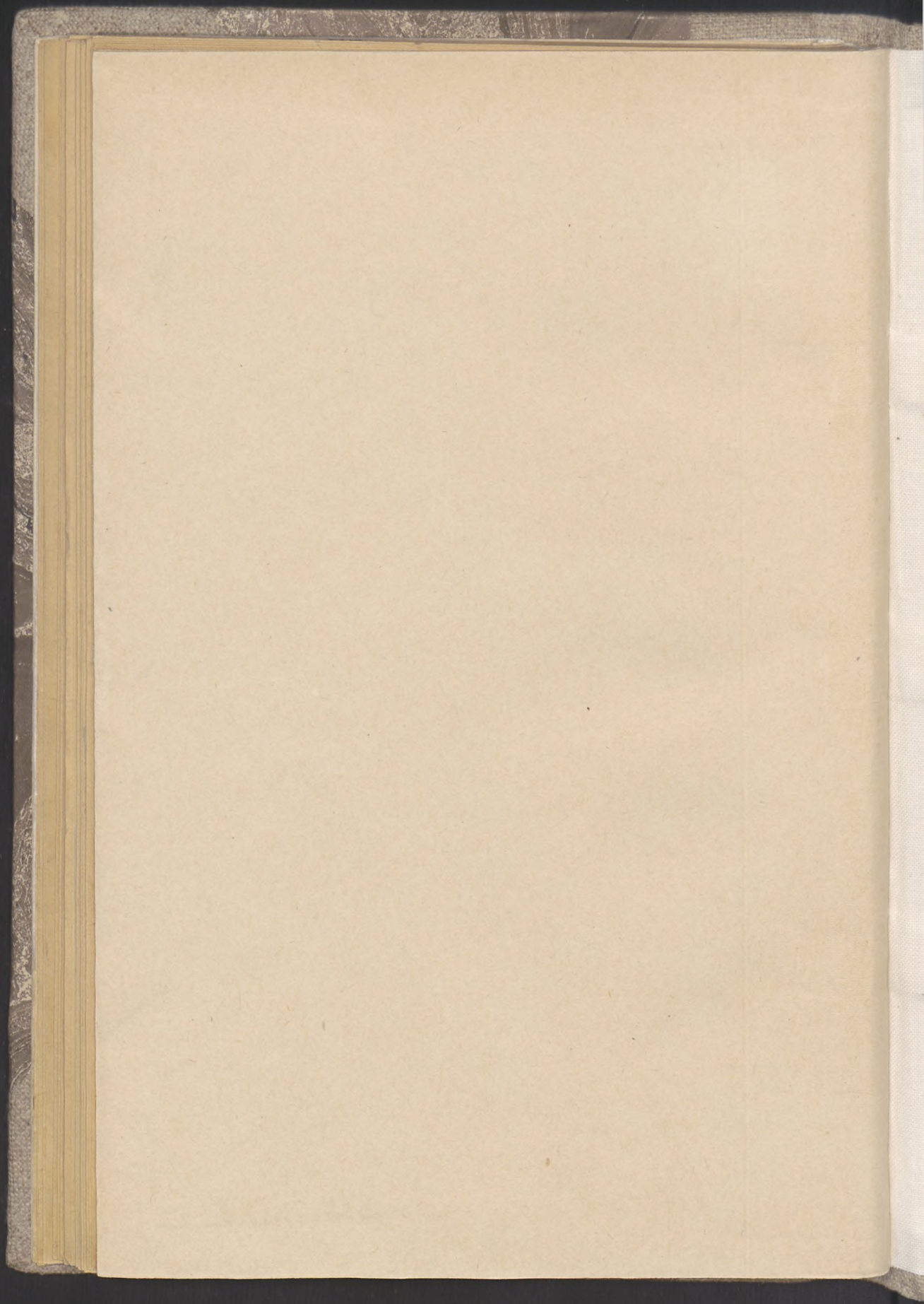


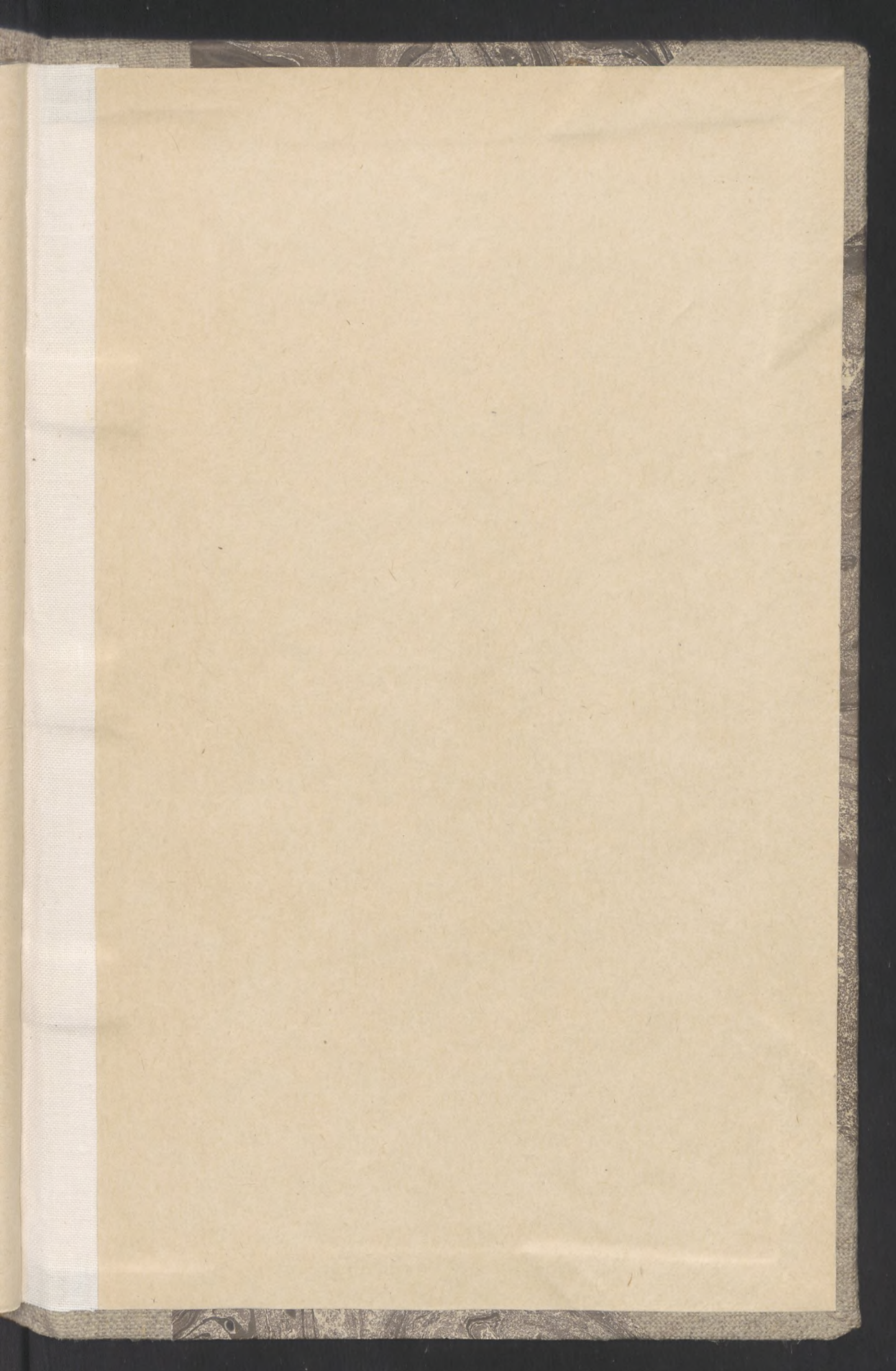
DRUKIEM DRUKARNI „DZIENNIKA POLSKIEGO“
pod zarządem Franciszka Kattnera.

dar J. Kanonowskiego
ni-na, 28.06.90

fr









BIBLIOTEKA
NARODOWA

1411239



Niosę kwiateczki

Dla mojej mateczki.



MISIA I ISIA.

się z wyciągniętymi rączkami i Isię, która z przerażenia nie mogła się ruszyć.

— Nieszczęście! — zawołała matka, widząc dzieci w koszulinkach i boscie pomiędzy potłuczonym szkłem. Przybiegła co prędzej, podniosła Misię i zobaczyła, że z rączki sączy się krew. Opatrzono rączkę, ale dziewczynka nie mogła nią władać cały tydzień.

